



650

~~11110~~

14

<http://rcin.org.pl>



Scena XVIII

J. P. Gizewski [w roli Freytag, w Kom: Syn narzeczona]

Wielki Boze! – teraz znowu drugi!!

Tom IV. Prac Drama J. S. Jasulskiego

PRACE
DRAMMATYCZNE

J. S. JASIŃSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

PRACE

DRAMMATYCZNE

TEUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom IV.

WARSZAWA.

1838.

INSTITUT

BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

89-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

SPIS SZTUK

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.

1. *Leonida* czyli *Stara z Sureny*, Komedja we trzech aktach 8
 2. *Kobieta głową domu*, Komedja w jednym akcie 105
 3. *Syn narzeczona*, Komedja w jednym akcie 159
 4. *Godzina małżeństwa*, Komedja w jednym akcie 215
-



22 963/4

LEONIDA

CZYLI

STARA Z SURENY

KOMEDJA

WE TRZECH AKTACH.

z francuskiego

PP. Dupenty, de Villeneuve

i St. Hilaire

PRZEŁOŻONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA WIELKIM TEATRZE-

dnia 12 Stycznia 1834 r.

O S O B Y.

ROBERTYN, bankier	JP. <i>Karasiński.</i>
KAROL, jego syn	JP. <i>Weinert.</i>
GRUDNER, były pułkownik, szwa- gier Robertyna	JP. <i>Kudlicz.</i>
RUDOLF, przyjaciel Karola	JP. <i>Jasiński.</i>
PANI DE ST. ELME	JPa. <i>Nowicka.</i>
MATYLDA, jej córka	JPa. <i>Daszkiewicz.</i>
PANI HEBERT, nazwana' starą z Sureny	JPi. <i>Żółkowska.</i>
LEONIDA, jej przybrana córka	JPa. <i>Palczewska.</i>
LUDWIKA, młoda wieśniaczka, w usługach pani Hebert	JPa. <i>Werowska.</i>
HUZAR, w służbie Grudnera	JP. <i>Buliński.</i>
SŁUŻĄCY.	JP. <i>Jędrzejowski.</i>
Goście i krewni.	

(*Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w Paryżu u pani de St. Elme, w drugim w domu pani Hebert, w trzecim u Robertyna w Paryżu.*)

LEONIDA.

AKT I.

(Scena wystawia bogaty salon, gdzie wszystko jest przygotowane do balu. W głębi trójne drzwi, z tych środkowe dają widok na salę balową; z prawej strony prowadzą do pokoju gry, gdzie są stoliki pozastawiane, z lewej do innego pokoju, w którym także grają. Te drzwi są zamknięte.)

SCENA I.

PANI DE ST. ELME, RUDOLF, SŁUŻĄCY.

PANI DE ST. ELME. *(do służących)*

Niechaj oświecą salę, niech przygotują stoliki do gry, i niech uwiadomią moją córkę, aby się pośpieszyła z ukończeniem toalety. Idźcie.

RUDOLF. *(wchodząc)*

Jeszcze chwilę... nie zapomnijcie tortów migdałowych, konfitur, lodów, ponczu i dosyć mocnego... *(zcicha)* Szczególniej dla dam — nie

zapominajcie także i o muzykantach, trzeba ich w humor wprowadzić. Madery Soterenu pierwszym skrzypcom, Szampana dla fletrowersu, starajcie się nawet podpoić gwardjolę, jeżeli to nie będzie zbyt trudno. Idźcie. (*służący odchodzą*)

P. ST. ELME.

Panie Rudolfie, racz przyjąć podziękowanie za pomoc w czynieniu honorów w moim domu.

R U D O L F.

Ah mój Boże! czyliż ja nie jestem obowiązany dopomagać wszystkim paniom domu. Jak samotnik z góry dzikiej, wiem wszystko, rozumiem wszystko, widzę wszystko, jestem wszędzie.... krótko mówiąc, nadano mi nazwisko geniusza wielkich balów i małych wieczorów, nazwano mnie Trilbym... zabawy, są moje zatrudnienia; co się tycze interessów, do tych się bynajmniej nie mieszam.

P. ST. ELME.

Pędzisz więc życie swobodne.

R U D O L F.

Tak jak ptak na gałęzi, bez kłopotów rodzinnych, bez stałego miejsca; mieszkam blisko nieba, żyję z pomyslnych trafów, płacę dobrze moją osobą, a najgorzej workiem... Jednym słowem

wem, należą do tej wesołej zgrai modnej młodzieży, która mruczy po salonach, zaludnia przedsięsienia teatrów, stanowi powodzenie sztuk nowych, i która co miesiąc zmienia zarówno krawców i przyjaciół. Jestem nakoniec, jak to nazywają w niektórych zgromadzeniach, przyjemny chłopczyzna, a u drugich nie dobrego zupełnie. Ale cóż mam czynić? taka natura. Doświadczywszy pięciu zawodów przezemnie przedsiębranych; pewnego dnia do sądownictwa się udałem, ale i tam smutno ubiegały chwile. Dla zabawy, przepisując ogromne kopje, w niejednym processie poprzerabiałem kontrakty w elegje, a testamenta w kuplety. Trzeba się więc było i tego wyrzec, bo byłbym niedługo porymował wszystkie fascykuły prawne. I na honor gdym się ostatecznie przekonał, zem nie zdatny do wielkich rzeczy, postanowiłem stale nic nie robić i poświęcić się samej zabawie; jest to urząd równie jak i drugi, a mam wiele w nim upodobania.

P. ST. ELME.

Gdyby był czas po temu, dałabym ci naukę moralną, ale trzeba myśleć o naszych gościach. Polecam ci pana Robertyna...

1

R U D O L F.

Ah, tego chudego bankiera o twardym mózgu, i o ociężałym genjuszu, którego jednak niebo obdarzyło szczególnym talentem... zbierania milionów.. jego rozum jest regułą trzech... jego cała nauka... procent... Mówią, że i on wzdycha nieco do znaczenia, ale zresztą doskonały człowiek.

P. ST. ELME.

Ma przedstawić mi pułkownika Grudnera, swego krewnego.

R U D O L F.

Brata swojej żony. Ah co ten, wcale inny człowiek, jest to rozprawiacz rodziny... szanowny bezżeniec... mający rocznie 50,000 liwrów dochodu... dobry, usłużny, tkliwy, jak każdy zacnie myślący... ale dosyć niegrzeczny, gdy mu się kto przeciwi... Niedawno przybył do Paryża...

P. ST. ELME.

Tak właśnie. Proszę cię, dopilnuj, aby miano dla tych panów największe względy.

R U D O L F.

Rozumiem, rozumiem w rozporządzeniu mojem już...

P. ST. ELME.

Jako?

R U D O L F.

Czyliżem pani nie powiedział, że wiem wszystko... Zostawszy wdową przy dość szczupłym majątku, wiele ci na tem zależy, aby małżeństwo panny Matyldy z jednym dziedzicem naszego bogatego bankiera, przyszło do skutku. To bardzo dobra partja. Karol jest przyjemnym... bardzo temu wierzę; ja gdybym był synem bankiera, byłbym zachwycającym.

P. ST. ELME.

Ponieważ tak dokładnie wiesz o wszystkiém, możesz przynajmniej zaufać twojemu milczeniu?

R U D O L F.

Jak najpewniej... ah jak ten Karol jest szczęśliwym!... ale trzeba przyznać, zasługuje na to: wyborny chłopiec... żyjemy z sobą bardzo ściśle!... jeden drugiemu pożyczają!...

P. ST. ELME. (*uśmiechając się*)

A pan często jesteś tym drugim, nieprawdaż?

R U D O L F.

Tak jest, ale cóż to dowodzi?... że on ma pieniądze, a ja chęć dobrą, otóż wszystko... systema wynagradzań... Nadchodzą. Ah to zaproszeni... dalej do mojej roli...

SCENA II.

POPZEDZAJĄCY, GOŚCIE, później P. ROBERTYN
i GRUDNER. (*otwierają troje drzwi w głębi*)

JEDEN Z GOŚCI.

Przyjemnie rozpoczyna się zabawa, muzyka
wzywa nas do siebie.

R U D O L F.

To prawda, u nas na balach wszystko tań-
czy, a nawet pieniądze. (*w chwili, gdy p. St.
Elme i Rudolf przyjmują i witają gości i wska-
zują im salę balową, służący wchodzi*)

S Ł U Ż A C Y.

Pan Robertyn i p. pułkownik Grudner.

(*Pani de St. Elme idzie z pośpiechem na ich
spotkanie. Zamykają drzwi wszystkie w głębi
będace.*)

R O B E R T Y N.

Witam cię, piękna pani, witam.

P. ST. ELME.

Wdzięczną ci jestem mój przyjacielu; żeś mi
podał sposobność poznania tak znakomitego
wojskowego jak pan pułkownik.

C R U D N E R.

Niech pani powie po prostu żołnierza, który
zawsze dopełniał swojej powinności.

P. ST. ELME. (*do Grudnera*)

Racz mi pan wierzyć, że z najżywszą przy-

jemnością widzę u siebie krewnego p. Roberty-
na, tyle znanego świata ze swoich pięknych
przymiotów.

R O B E R T Y N.

Ah!... ah!... pani jesteś zbyt dobrą... nie, w isto-
cie...

G R U D N E R.

Tak jest, było zacny człowiek, nim chęć wy-
wyższenia zawróciła mu głowę... ale, nie dzi-
wnego, prawie wszyscy ludzie biorą się nie do
swoich rzeczy...

R O B E R T Y N. (*zcicha do Grudnera*)

Mój szwagrze, bądźże też cicho, gotów jesteś
niegrzeczności mi nagadać w obec tych...

G R U D N E R.

Dla czegoż nie zaniechasz ubiegania się o u-
rząd, bez którego obejść się możesz?

R O B E R T Y N.

Tak będę się o niego starał, będę, albowiem
przyzwoitym jest dla mnie, prócz tego to już
rzecz ułożona: pani mię proteguje, i będę, po-
mimo twojej woli, poborcą jeneralnym.

P. ST. ELME.

Oh mam nadzieję, że p. pułkownik porzuci
uprzedzenie...

R O B E R T Y N.

Eh co tam, nie słuchaj go pani... ci starzy

wojskowi są zawsze... Któż to?... ah to moja przyszła sylvowa... czarująca... prześliczna!

SCENA III.

POPREDZAJĄCY, MATYLDA, SŁUŻĄCY.

(*Matylda kłania się kolejno p. Robertynowi, Grudnerowi, uśmiecha się do Rudolfa, i ściska panią St. Elme*)

ROBERTYN. (*do Grudnera*)

A co? he? co mówisz? piękna!...

GRUDNER. (*do Robertyna*)

Tak, ale nosi brylanty.

R O B E R T Y N.

Brylanty, brylanty... niech nosi, kiedy ma. Zbliź się moje drogie dziecię. (*całuje ją w rękę*)

RUDOLF. (*n. s.*)

Ja zawsze powtarzam że Karol jest bardzo szczęśliwy!... Gdyby nie był moim przyjacielem... zresztą... ale nie myślmy o tém...

P. ST. ELME. (*do Robertyna*)

Dla czegoż syn pana nie przyszedł?

R O B E R T Y N.

Nie wiem, bo gdyśmy wyjeżdżali jeszcze nie powrócił...

R U D O L F.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że mój przyja-

ciel równie zna przepisy dobrego tonu, jak ja ekarte... dopiero jest północ i założę się, że na dzisiejszy wieczór, on jutro przyjdzie.

P. ST. ELME. (*n. s.*)

To spóźnienie czyni mię niespokojną. (*słuchać muzykę*)

M A T Y L D A.

Mamo, słysząc muzykę, już kadryle utworzone, zapewne nas tylko czekają.

R U D O L F.

Słusznie... idźmy, idźmy panowie. Pani, raczyszże mi pozwolić służyć sobie do pierwszego kontredansa.

M A T Y L D A.

Jak najchętniej.

RUDOLF. (*n. s.*)

Otóż to, co się czyni dla przyjaźni, muszę tańczyć z jego kochanką. (*głośno*) Oczekując Karola, idźmy tańczyć cokolwiek.

GRUDNER. (*n. s.*)

Uważajmy.

R O B E R T Y N.

Dalej do ponczu.

(*Matylda, Rudolf i Grudner wchodzą do sali balowej. Robertyn chce iść za niemi, pani St. Elme go zatrzymuje. Zamykają drzwi.*)

SCENA IV.

ROBERTYN, P. ST. ELME.

P. ST. ELME.

Przebacz mi panie Robertynie... ale jesteśmy sami, pragnę pomówić z tobą.

R O B E R T Y N.

Jestem na usługi. Czyto względem wiadomego urzędu? może potrzebują pieniędzy, miljon, dwa... natychmiast się postaram... poborca jeneralny! ah jak głośno ten tytuł przemawia!...

P. ST. ELME.

Ale powiedz mi jeszcze pewnym, że serce Karola zupełnie do córki mojej należy, i że zamierzone przez nas połączenie może przyjść do skutku?

R O B E R T Y N.

Jakto? czy jestem pewny, niema najmniejszej wątpliwości.

P. ST. ELME.

A ja nie jestem w tym względzie tak spokojną, jak ty panie Robertynie.

R O B E R T Y N.

Z jakiejże przyczyny?

P. ST. ELME.

Wiem to niezawodnie, że pan Karol ma tajemne miłości, i że codziennie tam uczęszcza...

R O B E R T Y N.

Gdzież tedy?

P. ST. ELME.

Do Sureny.

R O B E R T Y N.

Do Sureny!... ah! ah! bądź pani spokojną... miłości wiejskie... znam ja to, znam... powtarzam pani, bądź spokojną, te małe intrygi nie mają żadnych skutków.

P. ST. ELME.

Może więcej niż się panu zdaje.

R O B E R T Y N.

Ba! ba!

P. ST. ELME.

Ta którą kocha, jest rzadkiej piękności; mieszka przy swojej matce, kobiecie już w wieku, słabowitej, którą nazwano starą z Sureny.

R O B E R T Y N.

Kto, pani Hebert?... znam ją... to jest zacna kobieta, której od trzydziestu lat płacę pensję tysiąc talarów, a którą, między nami mówiąc, od dawna miałem prawo cofnąć.

P. ST. ELME.

Jakto?

R O B E R T Y N.

Tak się rzecz ma: ta staruszka miała znaczny kapitał do umieszczenia; wskazałem jej bankiera, jednego z moich przyjaciół, za którego uczciwość ręczyłem; oddała mu cały swój majątek, a wkrótce potem bankructwo straszli-



we. Tak, pani Hebert, była zupełnie zniszczoną; nie chcąc podać w podejrzenie mojej dobrej wiary i prawości w tym interessie, postanowiłem zamilczeć przed tą godną kobietą o jej nieszczęściu; powiedziałem, że przed upadkiem oddał mi jej kapitał, i aż do tej chwili nie przestaję płacić jej procentu. Dla mnie nie wiele to znaczyło, a dla niej było wszystkiem, i ten czyn, rozgłoszony przez nieumiejących milczeć, podwoił jeszcze kredyt mojego domu... A więc mój syn bywa u pani Hebert?

P. ST. ELME.

Tak jest, powtarzam ci, córka jej jest przedmiotem jego miłości.

R O B E R T Y N.

Jej córka! ah pozwól pani, w sześćdziesiątym roku życia, ta zacna kobieta była bezdzietną; można tedy z pewnością twierdzić, że od tego czasu...

P. ST. ELME.

Porzucmy żarty... Ta młoda osoba jest przysposobioną córką pani Hebert. Twój syn kocha ją zapamiętale... i lękam się bardzo, że już nie będzie chciał zezwolić...

R O B E R T Y N.

Co nie będzie chciał zezwolić?... co mój syn

nie miałby dopełnić mojej woli, i tém samém zaszkodzić ojcu w otrzymaniu miejsca poborcy jeneralnego, i to dla kogo?... nie, nie, to niepodobna.

P. ST. ELME.

Zobaczemy... słyszę go... roztropność, nie dajmy mu poznać, że wiemy jego tajemnicę.

SCENA V.

CIŻ, RUDOLF, KAROL.

(Rudolf wychodzi ze sali balowej, w chwili, kiedy Karol wchodzi drzwiami głównymi.)

R U D O L F.

Ah mój przyjacielu, spóźniłeś się... już trzeciego kontredansa tańczę za ciebie.

K A R O L.

Pani, racz przebaczyć... wypadek tego wieczora...

P. ST. ELME. *(do Roberta)*

Czy uważasz jego pomieszczenie?...

R O B E R T Y N.

W istocie?...

R U D O L F.

Karolu! cóż ci to? masz postać tak smutną, jak gdybyś był już żonaty... to szczególna... Ah gdybym był na twojem miejscu... ale nie, ja, to co innego, ja zostanę całe życie kawalerem;

mając bowiem tylu przyjaciół i znajomych, że-
nie się nie bardzo bezpiecznie. Niestaly i pło-
chy, może zmienić miejsce miłości, gdy tym-
czasem małżeństwo jest nieporuszone. (*do gra-
jących w małym salonie na prawo*) He? cóż
tam jest?... 20 franków... idzie... Ah do diabła...
zapomniałem... Słuchajno Karolu, nie mam pie-
niędzy przy sobie, pożycz mi 500 franków... co?
pożyczysz? (*Karol daje*) Oddam ci natychmiast
jak tylko wygram.

P. ST. ELME. (*do Robertyna*)

Zostawiam cię z nim sam na sam... staraj się
go skłonić... ale milczenie...

R O B E R T Y N.

Rozumiem, rozumiem.

P. ST. ELME.

Panie Rudolfie, podaj mi rękę.

R U D O L F.

Natychmiast służę pani... jeszcze 20 franków...
jestem na rozkazy pani... Czy idziesz Karolu?...
przegrałem?... nie... w ten moment... idę... cóż
tam?... 40 franków do wzięcia... proszę... walet...
ale kończy talję... znowu przegrałem (*wycho-
dzi z panią St. Elme*) Przebacz, przebacz mi
pani po tysiąc razy.

SCENA VI.

ROBERTYN, KAROL.

ROBERTYN.

Mój panie synu, zatrzymaj się chwilę, musimy ze sobą pomówić.

KAROL. (n. s.)

Czyżby się czego domyślał?

ROBERTYN.

Wiesz co, mój Karolu, że twoje postępowanie od niejakiego czasu jest szczególném! cóż znaczy ta częsta nieobecność, roztargnienie, wzdychania... zwłaszcza w wilję twojego połączenia się z tak czarującą osobą.

KAROL.

Mój ojczy, sama obawa, czy zdołam uszczęśliwić moją przyszłą żonę...

ROBERTYN.

Co to znaczy?... czy zdołasz ją uszczęśliwić? Dowiedz się mój kochany, że przy niejakim przywiązaniu, mając piękny zamek, cokolwiek uczucia, i złożywszy wspaniały podarunek ślubny, można być pewnym szczęśliwego małżeństwa. Tak, tak, mając sto tysięcy franków rocznego dochodu, małżonkowie dosyć są zakochani i jarzmo ślubne jest mniej uciążliwem.

)*

K A R O L.

Wielu z bogactwa sądzi o szczęściu człowieka; ale jest to tylko sen, i skoro się przebudzimy, zbyt późno, niestety! poznajemy nasz błąd.

R O B E R T Y N.

Urojenie, mój kochany, urojenie; a prócz tego nie na to łożyłem na twoje wychowanie, abyś mi w ten sposób odpowiadała.

K A R O L.

Ale możnaż rozkazywać sercu?

R O B E R T Y N.

Można... kiedy kto jest dobrym synem, i kiedy pragnie widzieć swojego ojca poborcą generałym... może nawet... kto wie... w istocie można dojść aż do... Tak mój synu, można rozkazywać sercu, proszę więc...

SCENA VII.

CIŻ I GRUDNER.

GRUDNER. (*do Robertyna*)

Szukałem cię bracie.

ROBERTYN. (*n. s.*)

Niech cię kaci porwą!... pewny jestem, że wszystko popsuje! (*głośno*) Czy masz mi co powiedzieć?

G R U D N E R.

Wszystko widziałem.

R O B E R T Y N.

No, spodziewam się, że towarzystwo pięknie dobrane.

G R U D N E R.

O bardzo dobrze!... młodzi doktorowie śpiewają romanse, adwokaci tańczą walca jak szaleni, mniemani kapitaliści, nie patentowani, mówią o honorze, stare zalotnice spuszczają oczki w ziemię, młode trzpiotki nigdy ich znowu nie spuszczaają... dołączyć do tego tłum ludzi, którzy przybierając postać dumną, zdają się ciągle z niewczesnemi wyrywać zarcikami...

R O B E R T Y N.

Dajże pokój, cóż to szkodzi, zawsze jednak bawią się.

G R U D N E R.

Tak, grają, powiedz raczej, i znacznie; dwadzieścia przeszło stolików okrytych jest złotem i papierami.

R O B E R T Y N.

Grają, grają! A gdzież teraz nie grają? to należy do rozrywek wielkiego tonu.

G R U D N E R.

Dobrze i to, ale...

R O B E R T Y N.

Dajże mi pokój jeszcze ci raz powtarzam, że nie wiesz co to jest wielki świat...

G R U D N E R.

Tak rozumiesz; przeciwnie, znam go bardzo dobrze. Mimo zbytku i świetności, któremi jaśnieje, gdy mu się dobrze przypatrzymy, ten wielki świat bardzo małym nam się okaże.

R O B E R T Y N.

No, no, odmieńmy rozmowę, mój ty panie filozofie, mój ty cenzorze... ale przynajmniej wyznasz, że moja przyszła synowa jest przyjemna, łagodna, pełna wdzięków...

G R U D N E R.

A nadewszystko nie zalotna?... nie!...

K A R O L.

Obawiam się, czy mój wuj prawdy nie mówi.

R O B E R T Y N.

Czy zmysły tracisz? ja ci powtarzam, że to luba dziewczę kocha się w tobie szalenie.

G R U D N E R.

Bezwątpienia, kocha go szalenie... w tej chwili walcuje z Rudolfem.

R O B E R T Y N.

Walcuje!... walcuje!... wierzę temu, to prawdziwa Sylfida!... a prócz tego mój syn nie troszczy się o nią wcale.

K A R O L.

Czy źle czynię?

G R U D N E R.

Ja nie sędzę.

ROBERTYN. (*n. s.*)

Hm!... nie dobrze idzie, mój szwagier przeciwko nam się łączy... Idźmy uwiadomić o tém panią de St. Elme.

G R U D N E R.

Zostawiasz nas?

R O B E R T Y N.

Muszę przecie usprawiedliwić tego Jegomości przed damami... (*do Karola*) Tak, będę mówił za tobą, ponieważ sam mówić nie chcesz, i uprzedzam cię, że będę bardzo przynaglającym; zastosuj się więc do tego. (*odchodzi.*)

SCENA VIII.

GRUDNER, KAROL.

GRUDNER. (*widząc go oddalającego się*)
Zwarjował!

K A R O L.

Ah mój wuju! widzisz mię w najokropniejszym położeniu!

G R U D N E R.

Odgadłem twoją tajemnicę... ty kochasz...

K A R O L.

Powinienbym był wcześniej wyznać ci wszystko!

G R U D N E R.

Tak, bezwątpienia, zbłądziłeś, ukrywając twoje cierpienia przed tym, który może lepiej

od kogo innego mógł je osłodzić! ale nie nie szkodzi, słucham cię... mów... może jeszcze czas?

K A R O L.

Pewnego dnia odebrawszy polecenie mojego ojca, aby zanieść kwartalną ratę kobiecie już w wieku będącej, która mieszkała w Surenie, wchodzę do małego domku, gdzie wszystko oddychało dostatkiem i szczęściem. Kobieta w wieku podeszłym siedziała w wielkiem krześle, i zdawała się radzić przyszłości patrząc pilnie w karty... Za nią stała wieśniaczka, która wszystkie jej poruszenia z zadziwieniem śledziła... po lewej zaś młoda dziewczyna, oparta o poręcz krzesła, uśmiechała się figlarnie, jednakże w rysach jej widać było słodycz i niewinną prostotę!... Ah mój wuju! był to anioł, piękniejsza nad wszystkie, które kiedy widziałem, nad to, co kiedy wyobrażniami wystawiała... Miałem tylko chwilę zabawić... zatrzymałem się aż do wieczora... od tego czasu codziennie ją widuję.

G R U D N E R,

Jakże się nazywa?

K A R O L.

Leonida.

G R U D N E R.

Wiele ma lat?

K A R O L.

Szesnaście.

G R U D N E R.

Jej majątek?

K A R O L.

Nie posiada go wcale.

G R U D N E R.

Jej rodzice?...

K A R O L.

Przybrana matka.

G R U D N E R.

Biedne dziecię! Karolu, musisz mi przyrzec, że już nie powrócisz do Sureny.

K A R O L.

To niepodobna.

G R U D N E R.

Nie!... głupstwo twojego ojca, chęć znaczenia... są nieprzewyciężonemi przeszkodami... nie możesz zaślubić tej młodej istoty, a sądzę cię zbyt uczciwym, abyś ją uwieść zamysłał... powinieneś więc wyrzec się jej na zawsze.

K A R O L.

Nigdy.

G R U D N E R.

Nie znasz więc niebezpieczeństw, za któremi biegniesz, ani cierpień jakie cię czekają... Trzeba ci przykładu, bierz go ze mnie... słuchaj i korzystaj z mojej nauki. Miałem zaledwie lat 20, gdy walczyliśmy w Niemczech; była to pierw-

sza moja kampanja. Dnia peweeego, wiedzeni sławą, śmierć lub zwycięztwo mieliśmy do wyboru! Padam na ziemię raniony, wołając jednak z pociechą: zwycięztwo! Już byłem blizki śmierci, gdy wspaniałomyślny nieprzyjaciel życie mi zachował. Chociaż inną miał ojczyznę, oba jednak byliśmy ludźmi. Gdym otworzył oczy, znalazłem się w gronie jego rodziny, przy mnie stała jego córka... dzięki jej staraniom łagodnym i tkliwym, nie lękałem się o moje życie, ale wkrótce inną ranę w jednym czasie serca nasze uczuły. Elżbieta podzielała moje uczucia, ale ojciec nieubłagany, nie chciał nawet słyszeć o nich, i własną córkę obarczył przekleństwem. Zwycięztwo zmusiło mię opuścić miejsca tak drogie, ale pomimo mojej niestałości, pamiętałem zawsze o Elżbiecie. Mówiono mi, że przyszła za mną do Francji, nie mogłem wynaleźć miejsca jej pobytu. Wszystkie moje starania były bezużyteczne; dowiedziałem się jednakże, iż została matką... Łzy zraszają moje powieki, biedna Elżbieta... już nie żyje!... Zaprzysięgłem jej moją wiarę, ona również jak twoja Leonida była szczerą i niewinną, a ja również jak ty mło-

dym. Niestety! cierpienia moje są okropne, obyś ich nigdy nie znał mój Karolu; ty, co tak jak ja zacznasz, obyś tak jak ja nie zakończył.

K A R O L.

Ah, gdybyś ją znał mój wuju, pewny jestem, żebyś mię tak surowo nie sądził.

G R U D N E R.

Słuchaj... mam zamiar... chcę przekonać się... nie zaręczam jednakże za skutek... Bo wistocie i ja mam niejakię prawa nad tobą; a jeżeli ułóstwo Leonidy ma być jedyną przeszkodą, mój majątek dostatecznym dla was będzie... Zobaczemy... nie obowiązuję się jednak do niczego, a nade wszystko żądam od ciebie, abyś bez mojego pozwolenia nie wyjeżdżał do Sureny.

SCENA IX.

CIŻ I RUDOLF.

RUDOLF. (*wychodząc z małego salonu po prawej*)

Ah, to nieszczęście!... wszystkie cztery przegrały — kolejka nic nie pomogła — trzymałem damę przez całą talję i cztery razy przegrała, bo też ciągnie okropnie! Damy też zdradzają! Oto pułkowniku sam osądź... Ale cóż tu panowie porabiacie? może filozofujecie? widac, że

macie czas do stracenia... ja, to nie mówię, mnie toby uszło filozofować... nadewszystko, od ośmiu dni... ah mój Boże! tak... jeżeli to dłużej potrwa... będę przymuszony ostatniego chwycić się srodka. Ożenię się.

G R U D N E R.

Tam do kata, nie zazdroszczę losu tej kobiecie...

R U D O L F.

Dobrze, bardzo dobrze, mój pułkowniku, jest epigramma; ale to nic nie szkodzi, co się tycze sprawy miłości, nie obawiam się go wcale.

G R U D N E R.

Mógłbyś się zawieść, żartowniszu... nie zawsze miałem 40 latek i bliznę na czole.

R U D O L F.

A więc rzecz jasna, że cię pleć piękna lubiła... nim otrzymałeś bliznę, ale teraz...

G R U D N E R.

Wyznaję, nie bardzo to przyjemnie, jednakże na mój los nie użalam się wcale.

R U D O L F.

Co, muzyka ustała?! (*do Karola*) Zasiądą do wieczerzy... ah, spodziewam się, że cię przynajmniej u stołu zobaczą... Dalibóg, mój biedny Karolu, już cię poznać nie mogę... jako, ty... którego galantomija tak rozgłośnie znana, ty za-

ledwie ukazałeś się w salonie, nie przemówiłeś ani jednego słowa do twojej przyszłej! a jednakże ona jest bardzo ładna! i gdybym był w twojem położeniu! ah!... (*n. s.*) będę się starał być zawsze za jej krzesłem, ponieważ wiele mi okazuje grzeczności, nie chcę być niewdzięcznym... a kto wie... (*głośno*) No prosimy, prosimy... (*goście przechodzą do innego salonu*) Nie dajże się prosić. (*odchodzą za innemi.*)

SCENA X.

PANI ST. ELME, ROBERTYN.

R O B E R T Y N.

Źle idą interessa, źle! mój szwagier coś nadętemi przemawia wyrazami, a mój syn prawdziwie szalenie zakochany.

P. ST. ELME.

Nie mamy więc ani chwili do stracenia w wykonaniu zamysłu, o którym ci wspominałam.

R O B E R T Y N.

To prawda... ale, bo, obawiam się... to biedne dziecię! może ją to nieszczęśliwą uczyni.

P. ST. ELME.

Pragniesz więc, aby Karól trwał w chęci zawarcia związku tak nieodpowiedniego. Wiem o tem, że nie mógłby go dokonać bez twojego

zezwoleń, ale dopóki Leonida będzie wolną, mógłby przy pomocy twojego szwagra odmówić ci posłuszeństwa. Wydanie więc sieroty za kogo innego jest, jakem już mówiła, jedyny środek, aby go zmusić do wykonania twojej woli, chyba gdybyś sam się wyrzekł...

R O B E R T Y N,

Ale nie, nie do kata, porozumiejmy się; pragnę niezawodnie szczęścia mojego syna, ale chcę także być poborcą jeneralnym. Nie straszę cię pani, proszę cię... prócz tego, wszakże to dla dobra mojego kraju, chcę stać się osobą...

SCENA XI.

CIŻ I RUDOLF, (*z serwetą, kieliszkiem szampana i biszkołtem*)

RUDOLF (*maczając biszkołt w szampanie*)

Panie Robertynie! panie Robertynie!... ah! przecieżem cię znała zł... Cóż to pan nie siadasz z nami do wieczerzy? Aha! wiem co to jest, zapewneś nie głodny... znajdujesz się w mojem położeniu, bezwątpienia probowałeś także zdolności tego otyłego anglika... he?

R O B E R T Y N

Nie, mój młody przyjacielu, ważniejsza sprawa zatrzymuje mię tutaj.

R U D O L F

Czy tak? ah, to ja nie chcę mu przerywać...
jak tylko co ważnego, to ja się nie przydam...
zostań, zostań, przyniosę ci co, jeżeli chcesz...
dalibóg, wszystko doskonałe, wyborne...

P. ST. ELME.

Rudolfie...

R U D O L F.

Pani...

P. ST. ELME.

Zostań z panem Robertynem na chwilę, ma
z tobą pomówić.

R U D O L F.

Ze mną?

P. ST. ELME.

Tak, w bardzo ważnym przedmiocie, a któ-
ry ciebie mocno obchodzić może.

R U D O L F

Dobrze! *(kładzie serwetę na stole.)*

P. ST. ELME. *(dając znak Robertynowi)*

Zostawiam cię... *(kłania się i odchodzi)*

R U D O L F,

Nic tego nie rozumiem.

SCENA XII.

ROBERTYN I RUDOLF

ROBERTYN. *(n. s.)*

Otóż mamy, jak tu przystąpić do rzeczy?

3*

RUDOLF. (*n. s.*)

Co się to ma znaczyć... mocno cię obchodzić może... czyliby bankier chciał mi pieniędzy pożyczyc, wzięwszy weksel odemnie?

R O B E R T Y N,

Hm... hm... panie Rudolfie, mówiono mi o twojem położeniu... jesteś bez pieniędzy, bez miejsca...

RUDOLF. (*maczając biszkokt*)

Mniejsza o miejsce, byle tylko pieniądze były; a jednakże, kiedy dam mój podpis, bądź pan przekonany, że... (*n. s.*) na tamtym świecie odbierzesz.

R O B E R T Y N,

Nie idzie tu o to... Masz postać kształtną, talenta, naukę... samemi tylko przymiotami jaśniejiesz na świecie.

R U D O L F.

Prawdę pan mówisz, to cały mój kapitał... i jeżeli go zechcesz wziąć w miejsce hipoteki, jest na twoje usługi.

R O B E R T Y N

Zarzucają ci płochość, swawolę młodego wieku; ale pewny jestem, że nawet potwarz nie może dotknąć twojego honoru, ani twojej delikatności.

R U D O L F.

To pewno! i co się tego tycze... sentymenta, o, w sentymentach jestem najmocniejszy.

R O B E R T Y N.

Twoje interessa są nieco nadwerężone...

R U D O L F.

Postuchaj pan, nie mam przyczyny ukrywać się przed nim, i jeżeli to panu będzie przyjemnie, przedstawię mu obecny stan mojego położenia... Pozwól mi wprzód dokończyć szampa, po obliczeniu się, możeby mi nie smakował. (*pije i stawia kieliszek na stole.*) Otóż to tak się rzecz ma: ponieważ pan jesteś bankierem... przedstawię mu bilans...

R O B E R T Y N.

Dobrze, dobrze, ale spiesz się...

R U D O L F.

Z moim majątkiem, krótki rachunek... Winienem i mam... Winienem dwadzieścia tysięcy franków... może więcej, zawsze jednak nie mniej...

R O B E R T Y N.

Nie mniej?

R U D O L F.

Tak, tak... ale mam... zero, zero, zero i zero, teraz dodawszy, ogólna summa zero, zróbmy odejmowanie... cóż na różnicę wypadnie?

biernie, dwadzieścia tysięcy franków albo więcej, jak już miał honor powiedzieć; cóż pan mówisz na to? kategorycznie. Wprawdzie zarzucają mi, że nie płacę! ah, to jest fałsz; ja cały mój majątek, oddaję wierzycielom na zaspokojenie mojego długu i procentów, ale któż temu winien, że mój majątek jest zero, zero.

R O B E R T Y N.

Przystąpmy teraz do rzeczy; powiedz mi czy kochasz się w kim?

R U D O L F.

Do szaleństwa! (*n. s.*) Oh do diabła, cóż to ja powiedziałem, do kogóż się udaję! (*głośno*) Kiedy mówię tak, to się ma rozumieć nie; jest to skutek przyzwyczajenia, wrodzony charakter zwycięża, szczerą prawdą jest, że ani pomyślał o miłości... chyba o chwilowej... ulotnej...

R O B E R T Y N.

Dobrze więc, mocno mię to cieszy. Słuchaj, posada czyniąca rocznie 8000 franków, przyjemność podróżowania, spłacenia twoich długów i 40,000 gotówki w złocie, czyby ci się podobało?

R U D O L F.

Co panie, co! 40,000 franków, czyby mi się podobało? czyliż kiedy uczyniono komu podobne zapytanie?

R O B E R T Y N.

Rozważ i odpowiedz tak lub nie.

R U D O L F.

Tak, tak... później będę rozważał, mam czas...

R O B E R T Y N.

Daj mi rękę... ale jeszcze mały warunek...

R U D O L F.

Wszystko mi zarówno, przyjmuję choćby
dziesięć... cóż to za warunek?

R O B E R T Y N.

Trzeba się ożenić!...

R U D O L F.

Ożenić się? Wierz mi pan lub nie, ale myśla-
łem o tem w tej chwili... Z kimże to, z kim?...
założyłbym się, że zapewne z jaką starą, ciepłą
wdówką... tak 60 latek mającą... to nic nie szkod-
dzi, choćby i więcej miała, wezmę babinę, we-
zme.

R O B E R T Y N.

Przeciwnie, jest to młoda osoba, piękna, roz-
sądna, pełna wdzięków i cnot.

R U D O L F.

Doprawdy?... i wdzięki i cnota i 40,000, a więc
żenię się, kiedy? dziś? jutro? w tej chwili nawet.

R O B E R T Y N.

Jesteś pewnym zezwolenia twoich rodziców?

R U D O L F.

Zaręczam panu... (*n. s.*) Jakżeby mi mogli od-
mówić, kiedy ich nie mam.

R O B E R T Y N

A więc, mam twoje słowo?

R U D O L F.

Przysięgam.

R O B E R T Y N

Dosyć mi na tem. Jutro pojedziesz wraz ze mną i panią St. Elme do Sureny, tam zobaczysz twoją żonę.

R U D O L F.

Ah z prowincji, teraz się nie dziwię, żem jej nie znał... ładna panna, cnotliwa i 40,000 franków, byłaby już dawno na rejestrze moich kochanek. A więc rzecz skończona! mam tedy zobaczyć moją żonę?... głowę tracę... czy to sen?... ja posiadaczem 40,000 frank., o fortuno! jestem więc na twoim szczycie, błagam cię, nie daj mi upaść na nowo.

R O B E R T Y N

Nadchodzą, bądź baczny, milczenie. (n. s.)
Prawda, że mię trochę kosztuje; ale mniejsza o to, będę poborcą jeneralnym i odzyskam to z procentem.

SCENA XIII.

CIŻ, P. ST, ETME, MATYLDA, GRUDNER, KAROL.

ROBERTYN. (*idąc naprzeciw p. St. Elme, która się pierwsza ukazuje.*)

Wszystko ułożone, mam jego słowo.

P. ST. ELME. (*cicho do Robertyna*)

Dobrze, daj synowi jakie polecenie oddalenia się na czas niejaki, abyśmy mogli działać bez obawy.

ROBERTYN. (*cicho do p. St. Elme*)

Zdaj się pani na mnie.

GRUDNER. (*wchodząc, ciągnie Robertyna na stronę*)

Bracie, teraz bardziej niż kiedy, nalegam na to, com ci mówił; związek, który pragniesz przywieść do skutku, jest godnym śmiechu, ambicja głowę ci zawróciła, a jeżeli trwać będziesz w twojem przedsięwzięciu, nigdy się już nie zobaczemy.

R O B E R T Y N.

A więc ohejdzcie się bez ciebie, bo nakoniec jesteś nieznośnym! (*Grudner wychodzi*)

P. ST. ELME. (*do Robertyna*)

Wkrótce nasze nadzieje pomyślny skutek uwieńczy. (*wychodzą*)

RUDOLF. (*sam*)

Nie mogę, wyjść z zamyślenia... szczególniejsza rzecz... ja, który nigdy nie myślałem... teraz o żonie... Jeszczem też nigdy nie był żonatym, ciekawym jak to będzie!...

AKT II.

(Scena wystawia ogród. Po prawej stronie aktorów dom o piętrze, wejście do niego po kilku stopniach, ozdobionych kwiatami. Okiennice i drzwi zielone, po lewej w pierwszej kulisie krzewy róż, jasmínu. W głębi sztachety i furka prowadząca na ulicę, w oddaleniu widać wieś.)

SCENA I.

LEONIDA, PANI HEBERT, LUDWIKA.

(Za podniesieniem zasłony, p. Hebert siedzi w wielkim krześle z poręczami przy stoliku i kładzie kabałę. Leonida siedzi po lewej z robotą w ręku. Ludwika zaś po prawej nieco w tyle oparta na miotle.)

P. HEBERT,

Przestańże Leonido... przez ciebie znowu mi się pomieszało w głowie.

L E O N I D A.

Ale upewniam cię matko, uważam i słucham cię.

L U D W I K A.

Słusznie panna czyni... mnie to bawi... tak jest, niezmiernie mię to bawi ta kabała... ah pani masz śliczny talent. Mój Boże, z jednej talji kosztującej

50 centymów, można mieć ze sto tysięcy rocznego dochodu, konie, karety, brylanty, a na-dewszystko męża; lecz chcąc się tem nacieszyć, trzeba nie tracić czasu, bo jak się karty zbiorą, to się schowa do stolika męża, konie i karete.

P. HEBERT.

To się ma znaczyć, że nie wierzysz temu co ja mówię?

L U D W I K A.

I owszem, wierzę, wierzę... ale to nie na moją głowę...

P. HEBERT.

A ty moje dziecię?

L E O N I D A.

Wiesz dobrze matko, że w tobie pokładam całe moje zaufanie, i cieszy mię, że wyczytałaś z kart, iż nigdy nie rozłączę się z tobą.

P. HEBERT. (*ściskając ją za rękę*)

Kochane dziecię! zobaczmy... teraz koniec pomysłny dla mojej Leonidy... myślę o pewnej rzeczy.

L E O N I D A.

I ja także...

P. HEBERT.

Jedna... dwie...

L E O N I D A.

Ah matko... trzy dziesiątki...

Tom IV.

4

P. HEBERT.

Widzisz, że się sprawdza... to znaczy... miłość, ślub, szczęście. Ludwisiu, czegoż ty patrzysz na nas ze śmiechem?

L U D W I K A.

Nie, nie pani, bo i ja także myślę o kimciś... i nie gniewałabym się, gdyby mi także wypadł ślub i szczęście... bo co się tycze miłości, ta już jest pewna.

P. HEBERT.

Czy ta!?... to dobrze, i dla ciebie potem położy karty. (*do Leonidy*) Cóż ci jest Leonido, zdajesz się być zamysłoną, wzdychasz moje dziecię?

L E O N I D A.

Tak... to com słyszała..., myślałam... Jeszcze nie przyjechał...

P. HEBERT.

Kto?

L E O N I D A.

On,

P. HEBERT,

Rozumiem cię, rozumiem; o jednym tylko człowieku tak mówić można. Kochasz go więc?

L E O N I D A.

Czyliż pan Karol nie jest synem tego, który ci ocalił majątek i zapewnił szczęście?...

P. HEBERT.

Aha! więc przez przywiązanie do mnie czu-

jesz miłość dla niego? Nie rumień się... być może... zobaczymy... trzy dziesiątki...

LEONIDA.

Jak panie chcą, wierzcie mi lub nie, ale wiem bardzo dobrze co panience jest... bo to samo słowo w słowo mnie się przytrafiło z tym pucołowatym Jakóblem, ogrodnikiem pani... on miał zawsze dla pani wielkie uszanowanie, to mię cieszyło... on to postrzegł, on nie głupi... a potem... potem... nakoniec Kocham go, cóż, to dosyć jasno powiedziane.

KAROL. (*za sceną*)

Popiłnuj konia, masz dla ciebie.

LEONIDA.

To jego głos.

LUDWIKA.

A jego, jego... nasz panicz... spóźnił się trochę.

P. HEBERT.

Ludwisiu, przygotuj prędko śniadanie.

LUDWIKA.

Idę, pani, idę. (*odchodzi po śniadanie, Karol wchodzi.*)

SCENA II.

P. HEBERT, LEONIDA, KAROL, później LUDWIKA.

P. HEBERT.

Prosiemy, prosiemy... chcemy cię połączyć...

L E O N I D A.

Oczekiwałyśmy cię z niecierpliwością.

K A R O L.

Czy i ty Leonido?

L E O N I D A.

Moja matka tak się cieszy, kiedy cię widzi.

K A R O L.

Wierście mi, opóźnienie, nie z mojej winy;
bo w istocie, gdzie może mi być przyjemniej?

L E O N I D A.

Ale mówisz tonem, który mię przestrasza...
jesteś smutny, zamyślony, cóż ci jest mój przy-
jacielu?

LUDWIKA. (*wraca*)

I ja to uważałam... młody panicz ma jakąś
minę, sama nie wiem jaką.

L E O N I D A.

Czegóż się obawiasz? jakież nieszczęście?...

K A R O L.

Żadne... upewniam cię...

L E O N I D A.

O nie, nie, masz zmartwienie, i ukrywasz
przed nami, któż cię więc pocieszy?

L U D W I K A.

To prawda, i któż pana pocieszy?... Ale za-
pomniałam przynieść nożów... (*wybiega*)

K A R O L.

Muszę wyjechać.

L E O N I D A .

Wyjechać?

K A R O L .

Oh! na krótki czas, jednakże nie chciałem się oddalić bez pożegnania z wami.

L E O N I D A .

Pożegnanie! oh, jak ten wyraz jest bolesnym.

P. HEBERT.

No, no, nie smuć się na prawdę, kiedy Karól powiada, że wkrótce powróci... Ludwisiu pospiesz się...

L U D W I K A .

Już wszystko gotowe...

P. HEBERT.

Pomóżcie mi wstać.

L U D W I K A .

Czy pani przynieść kulę?

P. HEBERT. (*opierając się na ramieniu Karola*)

Nie, dziś nie potrzebuję jej wcale. (*siadając do stołu.*)

K A R O L .

Nim się oddalę, mam nadzieję, że pani dotrzymasz swego przyrzeczenia.

P HEBERT.

Ah tak... chcesz abym ci opowiedziała historję mojej Leonidy... (*do Leonidy*) Czy zezwalasz na to moje dziecko?

LEONIDA. (*do Karola*)

Jeszcze bardziej cię zasmuci, ale kiedy chcesz, powiedz mu matko.

P. HEBERT.

Słuchaj więc.

L U D W I K A.

Ja każde słowo pamiętam... ta historja mocno mię bawi, a ile razy ją słyszę, zawsze płakać muszę... to szczególna!...

P. HEBERT.

Ludwiko, bądźże cicho. Było to w końcu miesiąca Grudnia roku 1808, śnieg okrył już ziemię, muóstwo było nieszczęśliwych, a ja bła gałam nieba, aby mi dozwoliło ile możności przynieść im ulgę. Wieczorem, pewnego dnia, słyszę jęk wzywający opiekuńczej pomocy... przybiegam i widzę kobietę bliską śmierci; przyciskała dziecię do swojego serca, zimno i nędza przywiodły ją do tego stanu. Drżąca, podnoszę w pół umarłą matkę z dziecieniem, i wprowadzam do mojego samotnego mieszkania. Nadaremnie staram się przywrócić jej siły; przytłoczona brzemieniem nieszczęść, uległa i w wiosnie swojego wieku, widziałam ten piękny kwiat podcięty i upadający. Zwracając ku mnie ociężałe powieki, rzekła: »Proszę cię o grób i modlitwę dla

mnie, o wsparcie i litość dla mojej córki.» Przyjęłam za moje własne to lube dziecię i odtąd zawsze jest przy mnie. Każdego poranku modłę się nad grobem tej młodej nieznajomej, i mam nadzieję, że łaskawa opatrzność wspierać będzie i biedną starą i jej córkę. (*Karol i Leonida całują ręce p. Hebert.*)

K A R O L.

A więc ona jest sierotą?

P. HEBERT.

Nie.

K A R O L.

I nie mogłaś pani żadnej zasięgnąć wiadomości o tej nieszczęśliwej, której tak wspaniałomyślniej udzieliłaś pomocy?

P. HEBERT.

Zadnej... Urywek listu pisanego ołówkiem, który w urzędzie miejscowym złożyłam, oto wszystko, co po niej pozostało, a wątpię, aby mogło odkryć prawdziwą rodzinę Leonidy... i czyliż tego potrzebuje? Możeby znalazła krewnych świetniejszego rodu, bogatszych odemnie, ale pewnieby jej więcej jak ja nie kochali.

K A R O L.

Dobra matko, wszystko co słyszę, powiększa, jeżeli to być może, przywiązanie, jakie mam ku tobie. Ah przysięgam ci, że Leonida tylko będzie moją żoną.

P. HEBERT,

Ha! ha! byłabym się o to założyła... już ja to wyczytałam z mojej kabały.

SCENA III.

CIŻ SAMI, PUŁKOWNIK, HUZAR.

PUŁKOWNIK. (*otwierając fortkę*)

To ten dom.

H U Z A R

Tak mój pułkowniku, ten sam.

KAROL. (*n. s.*)

Boże! to mój wuj!

P, HEBERT,

Cóż ci to jest?

PUŁKOWNIK. (*do Huzara*)

Wracaj spiesznie do miasta, jak najusiłniejsze wyszukiwania... Oddaj ten list władzy miejscowej... choćby dziesięć koni paść miało... jeżeli tego potrzeba, a przynieś mi tu odpowiedź...

H U Z A R.

Dobrze mój pułkowniku.

P. HEBERT.

Czego chce od nas ten człowiek?

L U D W I K A.

Zaraz go się zapytam... (*do Pułkownika*) Proszę, kogo tu pan szukasz u nas?

P U Ł K O W N I K.

Przecież nie ciebie.

LUDWIKA. (*n. s.*) -

A to grubijanin... dla czegożby nie mnie?

PUŁKOWNIK. (*przechodząc scenę, do Karola*)

To ty! byłem pewny, że cię tu zastanę.

K A R O L.

Mój wuju!

P U Ł K O W N I K.

Nie spodziewałeś się widzieć mię tutaj. Tak-
żeto słuchasz rad moich i napomnień twojego
ojca?

P. HEBERT.

Co słyszę?

KAROL. (*n. s.*)

Drzę cały.

P U Ł K O W N I K.

Witam panią. Moje odwiedziny zapewne ją
zadziwiają; uspokój się pani... ja tylko chciałem
się naocznie przekonać, czy to, o czem mi Ka-
rol wspominał... Ale gdzież jest owa panna Leo-
nida, która pozwala sobie zawracać głowę mo-
jemu siostrzeńcowi?

L E O N I D A.

Widzisz ją pan przed sobą.

PUŁKOWNIK. (*do Karola*)

Do pioruna!... miałaś słuszność... ładna... bar-
dzo ładna... na honor... wcale piękna... (*do Leo-
nidy*) Czy przestraszam panienkę... dla czegoż
tak drżysz?

LEONIDA. (*jąkając się*)

Co? ja? ... panie... wcale nie...

L U D W I K A.

Ah to niegrzeczny!... no proszę, jak się zmieniła cała...

P. HEBERT.

Mości panie...

P U Ł K O W N I K.

Zaraz pani służę. (*do Leonidy*) A więc mój siostrzeniec kocha cię niezawodnie...

L E O N I D A.

Ja myślę, że tak... ale przysięgam, żem temu nic nie winna.

P U Ł K O W N I K.

I ty go bezwątpienia kochasz także?

L E O N I D A.

Nigdy mu o tem nie mówiła.

P U Ł K O W N I K

Przedziwnie... Teraz powiedźcie, dokąd was ta miłość doprowadzić może? (*do Karola*) Nadużyłeś zaufania jakie położono w tobie, aby uwieść serce osoby, na połączenie z którą, ojciec twój nigdyby nie chciał zezwolić. Ty więc jesteś najwinniejszym...

K A R O L.

Ależ mój wuju, przysięgam ci...

P U Ł K O W N I K .

Ty pani przez twoje zaślepienie, słabość, do-

zwoliłaś twęj córce zaniecić w swojęj duszy
namiętność, która kiedyś żal tylko po sobie zo-
stawić może.

P. HEBERT.

Mogę pana zapewnić, że kilkokrotnie...

P U Ł K O W N I K.

A ty mościa panno, uwierzyłaś młodemu sza-
leńcowi na słowo, przeto więćej godna jest li-
tości niż nagany. Cokolwiek bądź, powiedz mi,
cóż ci teraz czynić wypada?

LUDWIKA. (n. s.)

Aj, aj, karty kłamały, już nie będę wierzyła
dziesiątkom.

P U Ł K O W N I K.

I cóż? wszyscy milczycie?

P. HEBERT.

Przypomniałeś mi pan moję powinność, i be-
dę umiała jej dopełnić, siostrzeniec pana dopó-
ty nie wejdzie do mojego domu, dopóki nie oka-
że pozwolenia swojęj familji.

P U Ł K O W N I K. (do Karola)

A ty co uczynisz?

K A R O L.

Odjadę.

P U Ł K O W N I K (do Leonidy)

A panna?

L E O N I D A.

Płakać będę...

P U Ł K O W N I K.

Płakać? nie, tak być nie może, tak rzeczy pozostać nie mogą. Dobra matka nie zamknie drzwi przed moim siostrzeńcem, bobyśmy do nich oba kołatać przychodzili. Mój siostrzeniec nie odjedzie, ponieważ trzeba jak najprędzej ożenić się. Nakoniec panna Leonida przestanie płakać; bo jeżeli mój siostrzeniec się żeni, to ona będzie jego żoną. Czyście mię zrozumieli?

K A R O L.

Co słyszę?

P U Ł K O W N I K.

Taka moja wola; mój szwagier musi na to przystać, inaczej do pioruna!...

L E O N I D A.

Jakto? czy w istocie?...

P U Ł K O W N I K.

Tak, ty będziesz moją siostrzenicą.

L U D W I K A.

A to znowu co innego; teraz znowu wierzę dziesiątkom.

P U Ł K O W N I K.

Moje postanowienie zdaje się zadziwiać panią, jednakże jest bardzo naturalne... Już ja powziąłem wiadomości... Karol będzie bogatym, czegoż może pragnąć w przyszłej swojej żonie?

cnoty. Leonida ją posiada w całym blasku, a zatem ona jest dla niego najstosowniejszą partją, i powtarzam: ożeni się z nią. Pójdź moja siostrzenico, zechceszże mię uściskać?

L E O N I D A.

Z całego serca.

LUDWIKA. (n. s.)

Takie wielkie wąsy, jabyim się nigdy na to nie odważyła.

P. HEBERT.

Czy nie raczysz pan odpocząć?

L U D W I K A.

I zasilić się... przekąsić... to nie zaszkodzi...

P U Ł K O W N I K.

Bardzo dziękuję.

L U D W I K A.

To się ma rozumieć, proszę (*nalewa wino*)
Bądź pan spokojny, to niemłode wino, nie lubię zawodzić naszych gości, powiedziałybym prawdę. (*chce dolać mu wody, lecz pułkownik odsuwa karafkę*) (n. s.) Byłam tego pewną, takie wielkie wąsy, a wino z wodą, to się nie zgadza.

P U Ł K O W N I K.

Połączenie naszych dzieci! (*oddaje kielich Ludwice.*)

L U D W I K A.

Przedziwnie. (*zcichła do pani Hebert*) Prawdę

Tom IV.

5

mówiły trzy dziesiątki... ah, gdyby to i mój Jakób chciał w trzy dziesiątki uwierzyć?

PUEKOWNIK. (*ściskając Karola i Leonidę w swoich objęciach.*)

Sądziłem, że już nie ma dla mnie szczęścia na ziemi... omyliłem się. Już w mojem życiu, nie za jedno dobre, niewdzięcznością mi odpłacono, ale w tej chwili, w waszém uściśnieniu wszystkich trosk zapominam. Jeżeli przywiązanie moje dla was, obawia się brata, którego dusza ambicją zajęta, mam nadzieję, że nakoniec rozum odniesie zwycięztwo nad słabością. Powiem mu: bracie spełnij ich prośby, a gdy późna starość cię otoczy, ich przywiązanie, ich miłość, wynagrodzą twoje dobrodziejstwo; bo wiedzieć przy schyłku życia, uszczęśliwionych przez siebie, jest największą dla dobroczyńcy nagrodą. Dla tego jedźmy, jedźmy. Uspokój się pani, a ty Leonido miej nadzieję, ja stawam w waszej obronie. Wkrótce do was powrócę. (*rozłączają się. Leonida i pani Hebert wchodzi do domu.*)

SCENA IV.

LUDWIKA. (*sama, sprząta ze stołu*)

Dalibóg, to wyborny człowiek ten pułkownik, teraz kiedym się przekonała o jego dobrem sercu, gdyby mię chciał uściskać, zrezykowałabym pocałowanie, pomimo ogromnych wąsów. Prócz tego, ja lubię, żeby mię całowano. Mówią, że trzeba być nietościwą, zawsze odmawiać naszym kochankom, ale mnie się zdaje, że najczęściej to wszystko napróżno, chociaż my wzbraniamy się... Kiedys po tańcu. Jakób wziął mię za rękę, nie uważałam na to... nagle pocałował... nie uważałam na to... mówił mi do ucha... nie uważałam na to... A ta gruba Małgorzata, której się to niepodobało, zawołała na mnie natychmiast... »a fe! jak to brzydko, żeby się pozwalać tak całować!« A i cóż to szkodzi? odpowiedziałam jej, jeżeli w dobrej myśli... Co? zapytała się z gniewem... Tak mościa panno... Ha, ha, śmiać się zaczęła... w dobrej myśli, w dobrej myśli!... Aha, już wiem, powiedziała, pannabyś sama chciała być na mojem miejscu, bo przyznam się, pocałowanie nie jest to rzecz nieprzyjemna i o-

wszem... gdyby mój Jakób przyszedł do mnie i rzekł: Ludwisiu, zawsze i wszędzie o tobie pamiętałem, i jeżeli para wąsów moich cię nie przestrasza... oto masz. (*niby całując*) Jakto? odpowiedziałabym mu na to z przymileniem, kiedy mię kochasz zawsze...

SCENA V.

LUDWIKA, P. ST. ELME, ROBERTYN, RUDOLF.

ROBERTYN. (*wszedłszy, rzuca się na krzesło*)

Już też dalej nie mogę.

LUDWIKA. (*n. s.*)

Patrzcie, on sobie bez ceremoniji.

ROBERTYN.

Powiedz mi dziewczyno, czy tutaj mieszka pani Hebert?

LUDWIKA.

Tak jest. (*n. s.*) Dziewczyno! dziewczyno!

RUDOLF. (*do p. St. Elme*)

To będzie zapewne poufała mojej zony... nie-szpetne dziewczę... i to dobrze czasem...

P. ST. ELME.

Czy można się widzieć z twoją panią?

LUDWIKA.

Nie wiem, ale pójde się zapytać.

ROBERTYN

Jakto, nie wiem? chciałbym wiedzieć kto się odważy...

P. ST ELME. (*cicho do Robertyna*)

Bądźże cicho. (*głośno*) Proszę cię, donieś jej, że osoby, które się mocno nią zajmują, chcą pomówić z nią przez chwilę.

L U D W I K A.

Bardzo dobrze, idę. (*n. s.*) To co innego, ta pani przynajmniej grzeczniejsza.

R U D O L F.

Słuchajno moja panno... wszakże jeszcze panna?...

LUDWIKA. (*z ukłonem*)

Tak jest.

R U D O L F.

Oh byłem tego pewny... ja się znam na tém, uwiadom także tę młodą osobę, bo z nią szczególnie widzieć się pragniemy.

L U D W I K A.

Czy tak? (*n. s.*) To jakiś pędziwiatr.

R U D O L F.

Ale, ale... powiedz mi jak się nazywasz?

L U D W I K A.

Ludwisia do usług.

R U D O L F.

A więc, moja Ludwisiu, dopełnij spiesznie naszych poleceń, a ja ci to odwdzięczę. (*ściska ją*) i na zadatek...

LUDWIKA. (*odpychając go*)

Bardzo dziękuję... niech się pan nie trudzi...

R U D O L F.

Nic nie szkodzi... to przynajmniej nic nie kosztuje.

R O B E R T Y N.

Co? ty jeszcze tutaj!

L U D W I K A.

Kiedy ten pan mówił o jakimś zadatku...
(*odchodzi.*)

SCENA VI.

P. ST. ELME, ROBERTYN, RUDOLF.

P. ST. ELME.

Prawdziwie panie Robertyn, porywczosć w tobie jest straszliwą; a ty Rudolfie, nie możeszże ani na chwilę powściągnąć twojej pustoty?

R U D O L F.

To trudno, pustota jest nad moje siły — a potem to stworzenie było tak miłe i zajmujące, że nie mogłem się wstrzymać, aby z nią nie pomóc i cokolwiek uściskać. Jeżeli moje postępowanie, wydaje się płochem, ręcę na słowo, że nie będziecie państwo mieli przyczyny uskarżać się na nie... Do wieczora jestem bezżennym, dopełniam więc obowiązków mojego urzędu... ale jak będę miał żonę...

P. ST. ELME.

Przyznaj pan, to pomieszkowanie jest bardzo przyjemne.

R O B E R T Y N.

W istocie, domek bardzo piękny.

R U D O L F.

On zapewne będzie częścią posagu... poczynię w nim niejaki odmiany... najprzód dwa piętra wyżej... pokoje do przyjmowania moich przyjaciół... przepyszna sala jadalna, dla przyjaciół koniecznie potrzebna, piwnica pełna szampa, tu pagórek każę wysypać tu na prawo, a z niego wytryskiwać musi woda, która zamieniając się w kaskadę przeryznąć będzie gaik, który na przyszły rok urosnąć musi, co jak pani myślisz, kaskada... gaik... to będzie piękny widok...

P. ST. ELME.

Same niedorzeczności... wszystko stracone jeżeli się odezwiesz z podobną mową, w obecności tych dam.

R U D O L F.

Wszakżem panią uprzedził. .ja myślę... że przy pierwszym widzeniu, możecie się państwo obejść bezemnie.

R O B E R T Y N.

Czy tak sądzisz? nie, to być nie może, w żaden sposób być nie może.

P. ST. ELME.

A ja myślę że pan Rudolf teraz rozsądnie mówi.

R O B E R T Y N .

Kiedy tak, a więc... pani wiesz że ja zawsze jestem jej zdania; niech więc idzie, ale czemu on się zajmie przez ten czas?

R U D O L F .

Oto niech pan będzie spokojny. Widziałem właśnie na moście Neully, jednego z moich najlepszych przyjaciół, którego znam już od ośmiu dni, szedł na polowanie. Biegnę za nim i kiedy ja będę pola przebiegał, państwo proponujcie jej moją rękę. Zabijam rająca, oświadczenie moje przyjęte, spostrzegam kuropatwę, paf! upada, zostałem mężem, powracam; wyjeżdżamy, wszyscy i tego jeszcze wieczora po tylu dowodach miłości z mojej strony, podpisujemy intercyzę ślubną... czy wam się to podoba?...

P. ST. ELME.

Ależ panie Rudolffie, bądźże rozsądniejszym.

R U D O L F .

Z resztą daję wam blankiet. Powiedzcie że pałam chęcią połączenia się z panną... zaraz z panną... z panną... ale mniejsza oto, dosyć że... z panną, Inb nie, to mi wszystko jedno... jakżeście ją nazwali... zapewnijcie że ją kochać... że uwielbiać będę... jeżeli to za rzecz potrzebną uznacie... Zdaję się zupełnie na was... przytęm powiedzcie

cie że jej szczęście będzie moją powinnością, wszakże to jest zwyczajna forma oświadczających się... Ciebie panie Robertyn, czynię tłomaczem moich uczuć; zmiękcż serce mojej przyszłej, na mój rachunek staraj się jej przypodobać; i a jeżeli nie zrozumie twoich westchnień oświadczyć się formalnie, w każdym względzie śmiało pozwalam ręczyć za siebie, i za każdą wątpliwość po ślubie, ja będę odpowiedzialnym
(wychodzi)

SCENA VII.

ROBERTYN. P. ST. ELME.

R O B E R T Y N

Niech mi Bóg przebaczy, zdaje mi się, że on żarciki z nas stroi.

P ST. ELME.

Czyż nie znasz jego sposobu myślenia, głowa Rudolfa już oddawna rozstała się z zdrowym rozsądkiem; ale takiego właśnie człowieka potrzeba nam do naszych zamiarów, a zatem powinniśmy się zastosować do jego humoru.

R O B E R T Y N,

Bardzo sprawiedliwie. Pani zawsze masz słuszność, powinniśmy się zastosować... ale przypominam sobie, że potrzeba będzie gniewać się, grozić, ażeby...

P, SŁ ELME,
Przeciwnie, zmieniłam myśl, nie będziesz się gniewał.

R O B E R T Y N.
Dobrze, nie będę się gniewał.

P. ST, ELME.
Ani groził.

R O B E R T Y N.
Rozumiem, rozumiem.

P. ST. ELME,
Mnie pozwolisz mówić i działać, abyś potem mówił i działał jak ja.

R O B E R T Y N,
Zgoda; ale czy nie mógłbym wiedzieć dla czego?

P. ST. ELME.

Tak się rzecz ma: syn twój zamiast wyjechać podług twojego rozkazu, był tu jeszcze dziś rano, może jeszcze powrócić. Ważną tedy jest rzeczą, aby Leonidę natychmiast z tych miejsc oddalić, tak zmieniając nasz plan, dojdziemy do zamierzonego celu... ale ktoś nadchodzi... roztropność... słuchaj... uważaj... zrozumiesz mię.

R O B E R T Y N.
Dobrze, będę słuchał, uważał i rozumiem, jeżeli będę mógł.

SCENA VIII.

P. ST. ELME, ROBERTYN, LEONIDA.

P. HEBERT, LUDWIKA,

(*Ludwika i Leonida, prowadzą panię Hebert.*)

P. HEBERT.

Co widzę, pan Robertyn?

L E O N I D A.

Czy podobna?... Ojciec pana Karola, dobroczyńca mojej matki! Ah moi dobrodzieju...

(*całuje go w rękę*)

R O B E R T Y N,

No, no, moje dziecię, co czynisz?... proszę.

P. HEBERT.

Oh, jak pragnęliśmy widzieć pana dobrodzieja!

L E O N I D A.

Oczekiwaaliśmy pana codziennie, mówiłyśmy o nim co chwila... ah, jeżeli niebo wysłucha prośb naszych, powinienes pan być najszczęśliwszym z ludzi.

ROBERTYN. (*oglądając się na p. St. Elme*)

O jesteście nazbyt dobre... ja... zapewne... bardzo mi przyjemnie, że was oglądam... ponieważ... a więc... (*n. s.*) Co za przyjęcie, jestem tak pomieszany... nie wiem już co mówić.

P. HEBERT.

Tyle dobrodziejstw otrzymaliśmy już od nie-

go, że przekonana jestem, iż to przybycie jest dla nas wróżbą, nowego szczęścia!... Lecz chciej pan łaskawie wytłumaczyć, jaki jest cel tych odwiedzin?

R O B E R T Y N.

Jaki cel tych odwiedzin?... zapewnie... to właśnie moja myśl... otóż widzicie... ja... to jest... dowiedzcie się... że tak... nie...

P. ST. ELME. (*do Robertyna*)

Pozwól mi mówić!

ROBERTYN. (*cicho do p. St. Elme*)

Tego też tylko pragnąłem...

LUDWIKA. (*n. s.*)

Co oni tam tak szepczą?

P. ST. ELME. (*usmiechając się*)

Nigdybyś nie odgadła, moja dobra pani Hebert, co nas sprowadza do Sureny; dowiedz się więc, że naszym zamiarem jest wykraść was; ciebie, twoją córkę, a nawet Ludwikę.

ROBERTYN. (*n. s.*)

Otóż to ona... to co innego... jak mówi...

P. HEBERT.

Pani żartuje...

P. ST. ELME.

Nie w istocie. Czy nieprawda?...

R O B E R T Y N.

Tak, tak, prawda, chcemy was wykraść (*n. s.*)
Nie wiem do czego nas to doprowadzi, ale to
wszystko jedno.

P. S T E L M E.

Pan Robertyn dowiedział się o przywiązaniu
swojego syna ku Leonidzie; tajemnica jaką z te-
go czynił Karol, niepodoobała się ojcu, i jedy-
nie za ten brak zaufania chce go ukarać, i to
właśnie dla tego wymyślił.

R O B E R T Y N. (*n. s.*)

Radbym dowiedzieć się co ja wymyśliłem.

P. S T. E L M E.

Wszakże pan Karol był tutaj rano?

L E O N I D A.

Tak jest pani.

L U D W I K A.

I jego wuj także, ten co ma wielkie wąsy...

R O B E R T Y N. (*cicho do p. St. Elme*) -

Mój brat był... spieszmy się... spieszmy... bo
jak tu przyjdzie...

P. S T. E L M E.

Powrócą tu bezwątpienia?

P. H E B E R T.

Niezadługo, tak przyrzekli.

P. S T. E L M E.

Nasz zamiar... zdaje wam się dziwaczny, nie
wiem co przyszło panu Robertynowi do głowy

ROBERTYN. (*n. s.*)

I ja także nie wiem.

P. ST. ELME.

Jakkolwiek bądź niezwyczajny... można go dokonać... Trzeba, żeby ci panowie powrócisz do Sureny, to co dla nas jest żartem, wzięli za istotne wykradzenie...

ROBERTYN. (*n. s.*)

Ah zaczynam pojmować...

P. HEBERT.

Ale na cóż to wszystko?

P. ST. ELME,

Dowiesz się pani... Moja karetka czeka, jedziemy... fałszywe uwiadomienie względem drogi, którą się udamy, osób wam towarzyszących, okoliczności wyjazdu, każą wierzyć Karolowi, że ta, którą kocha jest na zawsze dla niego straconą. W rozpaczę pojedzie z pułkownikiem za waszemi ślady, my tymczasem przybywszy do Paryża, ukończymy przygotowania ślubne...

L E O N I D A.

Co słyszę?

P. HEBERT. (*do Robertyna*)

Więc pan zezwalasz?

L U D W I K A.

Zezwala?

R O B E R T Y N,

Co? (*n. s.*) znowu zaczynam nic nie rozumieć.

P. ST. ELME.

Słuchajcie. Po wielu bezskutecznych wyszukiwaniach, Karol wraca do ojca, i w chwili, kiedy sądzi się najniezszczęśliwszym, donoszą mu o jego szczęściu. Oto jest cały zamiar naszej zemsty.

L U D W I K A.

Jakto? więc taki jest zamiar pana dobrodzieja, ah, to szlachetnie, ~~ta~~ mi się podoba.

R O B E R T Y N

Tak jest w istocie, myśl nie zła. (*n. s.*) Ale dla tego nic a nic nie rozumiem.

P. ST. ELME.

Leonido, jakże, czy jesteś z nas kontenta?

L E O N I D A.

Ah pani, winnam ci dozgonną wdzięczność, ale dla czegoż chcieć zasmucać biednego Karola?

P. HEBERT.

Idźmy, idźmy, uspokój się Leonido; jest to tylko doświadczenie, którego sam pomysł już dosyć zabawny... widzę pomieszanie, rozpacz, a w końcu radość jego... Ale na to zgodzić się nie mogę, aby i Ludwikę zabrać z sobą, ona musi tu zostać i wszystko pozamykać w domu.

L U D W I K A.

I ja także chciałabym z duszy być wykradzioną, bo to musi być bardzo zabawnie jechać w karecie.

P. HEBERT.

Nie, Ludwiko, nie, to być nie może, kogóż zostawimy w domu?

P. ST. ELME.

A jeżeli nas zdradzi i wszystko wyda?

L U D W I K A.

Kto? ja?... ja potrafię tak dobrze kłamać jak i pani... tak dobrze, jakby pani sama to zrobiła; oh już jestem trochę przyzwyczajona do tego; bądźcie państwo spokojni, tylko i mnie przypuśćcie do interessu, a zobaczycie, ja tak im nagadam rozmaitych rzeczy, tak ich zasmucę, że...

LEONIDA. (*do Ludwiki z cicha*)

Proszę cię, nie dręcz bardzo Karola...

L U D W I K A.

Trochę, tylko trochę, żeby tracił głowę z rozpaczy, więcej nie; a jak wyjedzie na pole ze swoim wąsatym wujem, ja dalej do Paryża, i opowiem państwu wszystko co się tu stało.

P. ST. ELME.

Można więc zdać się na ciebie zupełnie?

L U D W I K A.

Tak mi się zdaje... oh, co się tycze wyrządzenia komu figla!... a potem oszukać kochanka każda z nas potrafi, bo to jest w naturze kobiet. Przeto, bądźcie państwo spokojni, ja rękę za wszystko, ale spieszcie się, gdyż oni niebawem powrócą, jeżeli się nie mylę, widzę ich w wielkiej alei, wyjdźcie państwo drugimi drzwiami, żebyście się z nimi nie spotkali.

L E O N I D A.

Trzeba więc opuścić to ustronie, gdzie wszystko zdawało mi się wróżyć najmiłą przyszłość...

R O B E R T Y N.

Służę paniom, idźmy...

(Robertyn, pani St. Elme, pani Hebert, Leonida wychodzą drzwiami na prawo, Ludwika zostaje.)

L U D W I K A.

Otóż oni! otóż oni!... ha, przynajmniej choć jeden będzie ukarany... co to jest... że udręczać mężczyznę tak przyjemnie dla kobiety.

AKT III.

(Salon bogato ozdobiony, po prawej stronie stolik, na nim pudełko, po lewej kanapa i krzesła)

SCENA I.

RUDOLF I SŁUŻĄCY.

RUDOLF. *(wchodząc)*

Ha!.. już dosyć tego.. zmęczyłem się okropnie, ale się ubawiłem, pyszne polowanie! niechmi teraz kto powie, że nie jestem zawołanym myśliwym... Długo włóczyłem się po polu, napróżno wytrzeszczałem oczy i nadstawiałem uszy, nie mogłem nic ani dostrzedz, ani dosłyszeć... zrazu słyszę szelest... patrzę... aż tu zajac wbiega w poręb... nie zmierzwszy nawet dobrze, strzelam i biegnę natychmiast... i uważ co za zręczność, celowałem w zajaca, zabiłem bażanta... Biedny ptak, ale po co u diabła leżać mu pod sam strzał... oddałem go kucharzowi... lecz nie mów nikomu, że to jest ofiara błędu!... Ale, ale, czy pan Robertynu jeszcze nie wrócił?

SŁUŻĄCY.

Owszem panie, ale wyszedł dla ukończenia

niektórych sprawunków. Pani St. Elme i te damy, które ze sobą przywiózł, towarzyszą mu.

R U D O L F.

Rozumiem... zapewne podarunki ślubne... dasz mi znać jak tylko powróci moja narzeczona. (*służący odchodzi.*)

SCENA II.

RUDOLF I MATYLDA.

MATYLDA. (*wchodząc z boku*)

Pańska narzeczona? jakto panie Rudolffie, więc to prawda, że się pan żenisz?

RUDOLF. (*n. s.*)

Ona tu była... ah! gdybym był wiedział!... (*głośno*) Tak jest, tak, panno Matylde, poświęcam się, czynię z siebie ofiarę dla szczęścia... moich wierzących... Ale ty pani, także dzisiaj...

M A T Y L D A.

Cóż mam czynić?... żądają tego...

R U D O L F.

Ah!

M A T Y L D A.

Zdaje mi się, że pan wzdychasz?

R U D O L F.

I mnie się tak zdaje... to rzecz dziwna, nieprawdaż? kiedy kto do tego nieprzyzwyczajony.

M A T Y L D A.

A... czy narzeczona pańska jest piękną?

R U D O L F.

Śliczna, zachwycająca, czarowna... jak mi mówiono... bo ja nie mam zaszczytu znać jej dotychczas.

M A T Y L D A.

Jakto pan jej nie znasz?

R U D O L F.

Wierz mi pani, jeżeli chcesz, ale ja nawet nie wiem, jak się nazywa, to śmiesznie, he? takie wesele... napróżno mówią, ale nieprzyjemnie jest zenić się, jeżeli człowiek nie jest pewny, czy się w innej nie kocha.

M A T Y L D A.

W innej?

R U D O L F.

Tak w istocie... ale to jest tajemnica... a pani szczególnie powierzyć jej nie mogę.

M A T Y L D A.

Dla czego?... ja przed tobą nie ukrywam moich cierpień... Mam pójść za męża... wiem, że on ma duszę szlachetną i wspaniałą; mówią mi, że połączona z nim będę na zawsze szczęśliwą... ah, to właśnie jest moje nieszczęście!

R U D O L F.

Pani mówisz o swoim nieszczęściu, moje jest daleko większe i ulitowałabyś się nad tem cier-

pieniem, gdybyś w głębi mego serca czytać umiała. Mam pojąć zoneczkę prześliczną, dom, korzystny urząd i 8000 franków rocznego dochodu... Możnaż być nieszczęśliwszym odemnie?

SCENA III.

RUDOLF, MATYLDA, ROBERTYN, P. ST. ELME.

P. ST. ELME.

Co widzę?... Matyllda tu!... z Panem Rudolfem?

MATYLDA

Powiedziałaś mi matko, aby czekać na ciebie u pana Robertyna... przyszedłam więc... i wszedłszy do tego salonu... nie widziałam... chciałam odejść... *(odchodzi)*

ROBERTYN.

Dobrze, dobrze... ale ty panie trzpiocie! powiedz mi, dla czego do nas nie przyszedłeś?

RUDOLF.

Ah szczególniejszy wypadek... zaraz to [państwu opowiem...

P. ST. ELME.

Zostaw nas pan na chwilę.

RUDOLF.

Jakto?

ROBERTYN.

Tak jest, jego przyszła już pewnie ukończyć musiała swoją toaletę, przyjdzie tu zapewne...

R U D O L F.

Ha, kiedy tak, t \acute{e} m bardziej zosta \acute{c} musz \acute{e} .

R O B E R T Y N.

Nie, nie, ona jeszcze nie jest dobrze przygotowaną do widzenia si \acute{e} z tob \acute{a} .

P. ST. ELME.

Ka \acute{z} emy pana uwiadomi \acute{c} .

R U D O L F.

Ale co si \acute{e} to wszystko ma znaczy \acute{c} ?

R O B E R T Y N.

Kt \acute{o} s idzie... pr \acute{e} dz \acute{e} j do biblijoteki.

R U D O L F.

Pozw \acute{o} lcie mi j \acute{a} pa \acute{n} stwo troch \acute{e} zobaczy \acute{c} ...

R O B E R T Y N.

Dal \acute{e} j do biblijoteki...

R U D O L F.

Do biblijoteki... w prawdzie s \acute{a} tam moi znajomi, kt $\acute{o$ rych od szk \acute{o} l nie widzia \acute{e} m, ale jestem pewny, ze si \acute{e} z nimi nudzi \acute{c} b \acute{e} d \acute{e} . Biblijoteka! jaki smutny widok!

R O B E R T Y N.

Dla rozrywki, czytaj sobie: Sztuk \acute{e} kochania Owidjusza, i to ci si \acute{e} przyda... dal \acute{e} j, dal \acute{e} j...

R U D O L F.

Mnie si \acute{e} zdaje, ze to zna ka \acute{z} dy bez ksi \acute{a} zki... tylko \acute{z} eby przynajmniej nied \acute{l} ugo tam siedzie \acute{c} .

R O B E R T Y N. (*zamykaj \acute{a} c drzwi*)

B \acute{a} d \acute{z} spokojny... Nakoniec jeste \acute{s} my sami...

SCENA IV.

P. ST. ELME, ROBERTYN, LEONIDA, P. HEBERT

P. ST. ELME.

Przybliżcie się panie.

ROBERTYN.

Tak, tak, prosimy bliżej pani Hebert; proszę siedzieć, pewnie utrudziłaś się.

P. HEBERT.

Prawda! już to nie 16 latek.

P. ST. ELME.

Ah panno Leonido, ten ubiór bardzo ci do twarzy.

ROBERTYN.

W istocie, zachwycająca!

SCENA V.

CIŻ I LUDWIKA.

LUDWIKA. (*przybiegając*)

Otóż jestem!... otóż jestem... ah, ah.., jakżem się zmęczyła.

P. HEBERT.

No, Ludwiko, jakież wiadomości?

LEONIDA.

Gdzie on jest?

ROBERTYN.

Cóż się z niemi stało?

P. ST. ELME.

Zachowałażes dobrze tajemnicę?

R O B E R T Y N.

Czemuż nie odpowiadasz?

LUDWIKA. *(która aż dotychczas dawała znak ręką, aby byli cierpliwi)*

Chwilę... chwilę... takem się zadyszała... to prawda, schody nie bardzo wysokie... ale tak biegłam... ledwo oddycham!...

P. HEBERT,

Biedna, nie może mówić.

L U D W I K A.

O, to zaraz przejdzie... nie bój się pani... ah, ah... Trzeba tedy państwu wiedzieć, żem ich nie źle oszukała... ale pułkownika szczególniej... aj, jak był rozgniewany... a widząc jaką twarz miał z gniewu, śmiałam się szczerze w duszy ha, ha... tak, tak, wsadzono je w żółtą karetę, powiedziałam... a tymczasem państwa jest zielona, a co, czy nie dobrze się znalazłam?... a potem dodałam z udanu tkliwością, że panna Leonida płakała! ale to tak płakała!... Na te słowa pan Karol unosi się gniewem, na nic nie zważa... a ja wciąż śmiałam się. Pułkownik biega po całej izbie, tupie... mruczy... wtém huzar przybiegł z jakimciś pismem od władzy miejscowej.

P. HEBERT.

Z pismem?

L U D W I K A

Tak jest... pułkownik drżący otwiera je... nie wiem co tam w nim było... ale za ledwie go przeczytał, tak zaczął mówić: »Czy to być może? tak, nie ma wątpliwości« potem w najlepsze zaczyna rozpaczać... wściekać się prawie... zaczęłam się już lękać... »Którą stroną, którą drogą pojechali?« zapytał mnie. Może tą, może tamtą odpowiedziałam, nie wiem prawdziwie, bo widzicie państwo, byłam przestraszona. A więc jedźmy! krzyknęli i pojechali... i teraz zapewne jeden jest na drodze do Rouen, drugi do Versailles, a trzeci do St. Germain... A co? czy umiem kłamać? czy można się zdać na mnie, he?... nie... bo tylko pytam się, he?...

LEONIDA. (*cicho do Ludwika*)

Jakżeś ty była złośliwą!

R O B E R T Y N.

Dobrze, bardzo dobrze, moje dziecię... oto twoja nagroda. (*daje jój sakiewkę*)

L U D W I K A.

Bardzo dziękuję panu... Ah panno Leonido, jaka też panna ładna... ale jak piękna! wszystkie te błyszczące kamienie, te śliczne wstążki...

Tom IV.

7

te... Szkoda, że mój Jakób nie jest synem bankiera, i jabył może takie miała!... ale mniejsza o to; pani powinnaś bardzo się cieszyć...

L E O N I D A.

Dla czego?

L U D W I K A.

Dla czego?... a to piękne zapytanie... gdybym ja tylko miała sukienkę z takiej ślicznej materji, tobym już nie powiedziała dla czego?

L E O N I D A.

Gdyby on tu był, możeby bogactwo łudzilo moje oczy... ale kiedy pomyślę, że zdala ode mnie cierpień doznaje, na cóż mi te ozdoby? Jego tu nie ma.

L U D W I K A.

Jego tu nie ma, jego tu nie ma! to prawda, ale powróci... potem nastąpi wesele, wszakże tak pani, będzie wesele?

P. ST. ELME.

Tak, tak, w istocie. Uspokój się kochana Leonido.

P. HEBERT.

Pojmuję jej wzruszenie, myśl blizkiego związku... Oh... lubo już starą jestem... ale pamiętam dobrze.

L U D W I K A.

Eh! eh! pani Hebert jeszcze o tem pamięta, nie myślałam...

P. HEBERT.

Tak moja Ludwiko... byłam natenczas ładną... miałam serce, które umiało kochać... ah nie mogę bez westchnienia wspomnieć o tych chwilach. Obyś i ty Leonido była tak szczęśliwą, i dożywszy moich, lat w gronie twoich dzieci, z roskoszą przeszłość wspominać mogła.

ROBERTYN. (*z cicha do p. St. Elme*)

Jakże ją oddalić?

P. HEBERT. (*cicho do Ludwiki*)

Ludwiko, chciałabym jeszcze poradzić się kart... ale niech oni o tém nie wiedzą.

LUDWIKA. (*także cicho*)

Bardzo słusznie, żartowaliby z nas... oni nie wierzą w trzy dziesiątki...

P. HEBERT. (*wstając*)

Poczekajno... (*głośno*) Panie Robertynie, jeżeli mi pozwolisz, to cię na chwilę opuszczę... doznane wzruszenie, odbyta podróż... czuję potrzebę spoczynku...

R O B E R T Y N.

Dobrze, niech pani Hebert uda się do swego pokoju, tam jej nie będą przeszkadzać, wszystko już kazałem przygotować... Henryku!

P. HEBERT.

Dziękuję panu.

ROBERTYN. (*do wchodzącego lokaja*)
Zaprowadź panię.

P. HEBERT. (*dając papier Robertynowi*)

Ah, omal nie zapomniałam, oto jest zezwolenie, którego pan żądałeś, nazwiska przyszłych małżonków jeszcze nie wpisane... pan raczysz to uskutecznić...

P. ST. ELME. (*do Leonidy, która chce iść z panią Hebert.*)

I panna chcesz nas opuścić? prosiemy zabaw z nami kilka chwil...

L E O N I D A.

Czy mama pozwoli?...

P. HEBERT

I owszem, moje dziecię. Ludwika mię zaprowadzi.

L U D W I K A.

Dobrze pani.

P. HEBERT.

Zostań się, zostań z panem Robertynem, przyzwyczaj się szanować go i kochać... wkrótce będziesz także i jego córką. (*ściska ją i oddala się z Ludwiką.*)

SCENA VI.

ROBERTYN, LEONIDA, P. ST. ELME.

LEONIDA. (*n. s.*)

Nie wiem dla czego drzę cała.

(*Pani St. Elme odprowdziwszy panią Hebert, wraca i biorąc Leonidę za rękę, sadza ją na krześle.*)

P. ST. ELME.

Siadaj Leonido, i wysłuchaj mię.

(*Leonida siada, spoglądając kolejno na p. St. Elme i Robertyną, z zadumieniem. Robertyn siada po prawej, a pani St. Elme po lewej stronie.*)

ROBERTYN. (*do siebie*)

Jej widok odbiera mi całą odwagę.

P. ST. ELME.

Jesteśmy sami... nadeszła chwila wyjawienia ci tajemnicy, od której szczęście twoje zawisło.

LEONIDA.

Moje szczęście?... Sądziłam, że mi już nie do życzenia nie pozostaje.

P. ST. ELME.

Byliśmy pewni, że masz dosyć odwagi, wytrwania i wdzięczności, aby wypełnić powinność...

LEONIDA.

Powinność!... o tak pani, wypełnię ją.

P. ST. ELME.

Dowiedz się więc, że od chwili, kiedy pierwszy raz ukazał się tobie syn pana Robertyna, ciągle cię zwodzono.

L E O N I D A.

Zwodzono?... Onby miał mię zwodzić, nie, pani, nie wierzę temu, nie mogę wierzyć.

P. ST. ELME.

Nie mówię, że on chciał ciebie zwodzić; nie, ale sam się zwodził. Oboje powzięliście nadzieję, których teraz wyrzec się potrzeba.

L E O N I D A.

Co słyszę?

P. ST. ELME,

Pan Karol jest dziedzicem wielkiego majątku, może starać się o najświetniejszą partję; może otworzyć swojemu ojcu drogę zaszczytów, a ty... jakżeś mogła nie pomyśleć, że związek twój jest niepodobnym na zawsze.

L E O N I D A

Jeszcze nie rozumiem, a jednak słyszałam dobrze. Kocham, jestem kochaną, to wiedziałam, to wiem. Lecz z jakiejże przyczyny pani sama utrzymywałaś mię w tym błędzie, aby mię z niego wyprowadzić tak okrutnie?... a pan... odwracasz się... nie mówisz do mnie. »Ty będziesz

moją córką!« Ah, przez litość, powiedzcie komuż teraz uwierzyć?

R O B E R T Y N.

To prawda moje dziecię, że mój syn... ale bezwątpienia... to jest niepodobieństwem... a wreszcie mam powody tak ważne...

L E O N I D A.

Więc i pan zwodziłeś biedną Leonidę?

R O B E R T Y N.

Płacz!... to już za wiele... tego nie zniosę.

L E O N I D A. (*wstając*)

Mało znam przepisy świata... ale zdaje mi się, iż potem co słyszałam, nie powinnam się tu znajdować... proszę kazać mię zaprowadzić do mojej matki.

P. ST. ELME. (*zatrzymując ją*)

Chwilę mościapanno... muszę cię jeszcze uwiadomić o pewnej rzeczy, która się nietylko ty-cze twojego losu, ale nawet, i tej którą matką twoją nazywasz.

L E O N I D A.

Pani Hebert? mojej matki! Ah mów pani, bę-dę miała dosyć odwagi wysłuchać cię. (*siada*)

P. ST. ELME.

Spokojność i majątek pani Hebert od ciebie samej zależeć będą... Dowiedz się, że jedno sło-

wo pana Robertyna, przywiedzie ją do najokropniejszej nędzy.

LEONIDA,

Wielki Boże! czy na nową próbę stawić mię chcecie? Ah panie, przez litość, uspokój mię względem losu mojej matki. (*ściska jego rękę i oblewa łzami*) Ah ojciec Karola, nie zechce mojej i jego śmierci... cóżeśmy mu zawinili, za cóżby nas miał karać?

ROBERTYN. (*mocno wzruszony*)

Nie martw się tak bardzo, moje...

P. ST. ELME.

Pan Robertyn chce się wyrzec wszystkich praw swoich, jednej tylko w nagrodę żąda od ciebie ofiary.

LEONIDA. (*z stałością*)

Wyjaw mi ją pani.

P. ST. ELME,

Jużem ci to powiedziała, że jakkolwiek mocną byłaby miłość Karola dla ciebie, nigdy zoną jego nie będziesz... Jego rodzina ma inne zobowiązania... lecz dopóki cię wolną widzieć będzie, nie opuści go nadzieja posiadania ciebie... Trzeba więc abys pierwsza zezwoliła na zawarcie innych związków...

L E O N I D A.

Nigdy!

P. ST. ELME.

A więc, wolisz widzieć twoją matkę obarczono-
ną ciężarem lat, bezsilną, tę której winnaś wszy-
stko, bez sposobu do życia, przymuszoną żebrać
zimnej litości innych...

L E O N I D A.

Nie kończ pani... nie, ten zbytek nieszczęścia
nie dotknie mojej matki, póki Leonida będzie
jej wsparciem na ziemi... Będę pracowała, od-
mówię sobie chwil spoczynku, a jeżeli siły mi
nie wystarczą, ja, ja będę żebrać dla niej o kęs
chleba, łzami zlewać dobroczynne dłonie, któ-
re mi zasiłku nie odmówią, lecz ona wiedzieć
o tem nie będzie...

ROBERTYN (n. s.)

Co za dobroć serca! (*głośno*) Bądź spokoj-
ną miłe dziecię, ja nie myślę bynajmniej uczy-
nić cię do tego stopnia nieszczęśliwą... przeci-
wnie... przyjmij za męża tego, którego ci prze-
znaczę... jest to przyjemny młodzieniec, wesoły
i który mieć będzie znaczny majątek... Ode-
mnie dostaniesz co tylko zażadasz... brylanty...
kaszmiry... kosztowne stroje... zgoła to wszystko

co uszczęśliwia kobietę!... No i cóż moje drogie dziecię... jakże, przystajesz na to?...

L E O N I D A.

Nie znasz mię pan jeszcze... znaczny majątek powiedziałaś... ah panie, kiedy myśl połączenia się z moim Karolem radością mię napawała, nie myślałam o jego majątku... nie, o nim tylko samym i byłam najszczęśliwszą... Brylanty, na cóż mi się przydadzą?... wiesz dobrze jak małą przywiązywałam cenę do tych, któreś mi podarował.. w tej chwili są mi ciężarem... trudzą mię!... Ah weźcie to wszystko, a nie przymuszajcie mię tylko; jeżeli nie mogę zostać żoną Karola, niechże przynajmniej inny mej ręki nie posiada! (*chce zdjąć brylanty*)

ROBERTYN. (*placząc*)

Co czynisz?... nie... słuchaj... (*p. St. Elme daje mu znak, on zamilcza*) (*n. s.*) tracę głowę... żeby nie ten przekłety urząd... Ah, ileż to kosztuje, żeby zostać czémkolwiek...

L E O N I D A.

Żegnam cię panie.

P. ST. ELME.

Oddalasz się mościapano... oznajmisz więc twojej matce, że od 28 lat nic już nie posiada;

że to wszystko co odbierała, winna wrócić panu Robertynowi, że jej dom w Surenie nie wystarczyłby nawet na zaspokojenie tego długu... powiesz jej, aby gdzie indziej szukała schronienia, w którymby dni swoje mogła zakończyć, i że ty, ty sama, w nagrodę jej ku tobie przywiązania, jej dobrodziejstw, przywodzisz ją do największej niedoli... Tak, powtarzam ci: będzie pozbawioną wszystkiego... Te papiery niech cię o tem przekonają. Patrz!... *(pokazuje jej papiery, Robertyn w smutku pogrążony siedzi na krześle.)* }

LEONIDA. *(przeczytawszy)* '

Prawda... nic, zupełnie nic... w tym wieku!... o moja matko! dobra moja matko!... stało się... nie można inaczej... Niszcząc osnowę własnego szczęścia, ocalmy dni późnej starości matki od nędzy. *(kłęka przed Robertynem)* Panie, czyn co ci się podoba, rozrządzaj życiem mojem!

ROBERTYN. *(podnosząc ją)*

Powstań moje dziecię... i ufaj mi. *(n. s.)* Przykre było doświadczenie... lecz nakoniec będę poborcą jeneralnym, to pociesza!

L E O N I D A.

Boże! błogosław życiu mojej matki!

SCENA VII.

ROBERTYN, LEONIDA, P. ST. ELME. RUDOLF.

RUDOLF: *(we drzwiach biblioteki)*

Czy długo jeszcze mam czekać?

ROBERTYN. *(zmieszany)*

Pójdź, pójdź przyjacielu.

P. ST. ELME. *(do Leonidy)*

Oto go masz przed sobą— ukryj przynajmniej przed nim twoją boleść.

L E O N I D A.

Będę się starała ile sił, utaić przed nim moje cierpienia!

RUDOLF. *(do Robertyna)*

To moja żona!... o radości!... śliczna... na honor... Ale ona coś nie bardzo radośnie na mnie patrzy.

ROBERTYN. *(do Leonidy)*

Uspokój się.

R U D O L F.

Dalibóg moje serce wojnę wypowiada.

ROBERTYN. *(do Rudolfa)*

Oświadczy się, przysięgnij być wiernym.

RUDOLF. *(zicha do Robertyna)*

Oświadczyć się... dobrze... już nie raz się o-

świadczałem, ale przysięga na wierność... o tém jeszcze... nie ma mowy. (*do Leonidy*) Ah pani... pragnę jak najgoręcej... mogę się ośmielić... czy pani raczysz mię... (*n. s.*) tam do licha! nie dobrze idzie. (*do Leonidy*) to jest... zechceszże pani zostać moją żoną?.. (*n. s.*) ha przecię, aż mi lżej.

L E O N I D A.

Tak panie... jestem twoją... (*n. s.*) Matko, wspieraj moją odwagę.

RUDOLF. (*dt^o Robertyna*)

Coś my oboje nie najpewniej mówimy.

R O B E R T Y N.

Skutek sympatji... ale zostawiamy cię sam na sam... przekonasz się lepiej o tém. (*odchodzi z panią St. Elme.*)

SCENA VIII.

RUDOLF, LEONIDA.

RUDOLF. (*n. s.*)

No, otóż mamy... poszli... zostawili nas samych!... a no... nakoniec trzeba się zaznajomić z moją żoną... zapytam jej jak się nazywa?... (*głośno*) Pani!... (*n. s.*) Co to znaczy... nie wiedziałem, żeś tak bojaźliwy... (*głośno*) Pani...

Tom IV.

8

w położeniu w jakim jesteśmy, zapytanie, które ci mam uczynić, wyda się zapewne szczególnem... chciałbym wiedzieć... jakie jest pani nazwisko?

LEONIDA.

Leonida.

RUDOLF.

Leonida? śliczne!... ja się nazywam Rudolf... to także niezłe, wszakże prawda?... ale chciałbym wiedzieć... nazwisko rodziców...

LEONIDA.

Nie mam go.

RUDOLF.

Pani nie masz. (n. s.) A to zupełnie tak jak ja, co za podobieństwo!... Niebo jedno dla drugiego nas stworzyło.

LEONIDA. (n. s.)

Ileż cierpię!

RUDOLF.

Powiedziałaś mi pani... że nie masz nazwiska rodziców... to się ma znaczyć, że... nie znałaś ich... któż więc nadał ci imię Leonidy?

LEONIDA. (wznosząc oczy w niebo)

Matka!

RUDOLF.

Ah mój Boże, cóż to jest?... Pani bledniejesz?... (biorąc ją za rękę) Ah, byłbym bardzo

nieszczęśliwym, a pani godną litości, gdybym stał się przyczyną twojego cierpienia, a może nawet i nienawiści... Powiedz mi Leonido... czy mogłabyś mię kochać?...

LEONIDA. (*z uśmiechem goryczy*)

Nie.

RUDOLF. (*n. s.*)

No, przynajmniej szczerza, co myśli to mówi. (*głośno*) A jednakże masz mię zaślubić?

LEONIDA.

Tak.

RUDOLF. (*n. s.*)

To szczególna... czy ona co zawiniła?... czyli też niewinna?... miałaby być ofiarą?... na honor, to jest ustęp romansu!

LEONIDA.

Tak panie, mówię prawdę... jestem twoją... chcę tego... ulegam rozkazowi... o więcej się pan nie pytaj.

RUDOLF.

Co mówisz pani?... ah wolałbym raczej umrzeć, aniżeli być przyczyną twojego nieszczęścia! Nie rozumiem tego dziwnego wypadku, który nas łączy ze sobą! To prawda, że dając mi ciebie za żonę, ofiarują mi świetną przyszłość; lecz posiadać cię pomimo twojej woli,

we łzach! nigdy! Lubo głowa moja pełna pustot, lecz serce więcej warte od głowy. Zaufaj mi pani, mów szczerze, chceszże, abym nie przyjął twojej ręki?... uczynię to.

LEONIDA.

O nie, błagam cię panie, nie odrzucaj mię, pozwól mi ocalić matkę... będę ci winna więcej niż życie.

RUDOLF.

Ale cóż te łzy znaczą?

LEONIDA.

Przebacz mi panie... wkrótce już ich widzieć nie będziesz. (*n. s.*) Radość, szczęście, spokojność, żegnam was na zawsze!

RUDOLF. (*n. s.*)

. Adieu Matyldo! już po nadziei! jednak zawsze cię kochać będę.

SCENA IX.

LEONIDA, RUDOLF, P. ST. ELME, ROBERTYN,
KREWNI I PRZYJACIELE ROBERTYNA.

ROBERTYN. (*ciągle wzruszony, biorąc Rudolfa na stronę.*)

No i cóż przyjacielu, co mówisz o twojej przyszłej?...

RUDOLF.

Byłaby zachwycająca, gdyby...

R O B E R T Y N .

Jakto?...

P. ST. ELME. (*do Leonidy*)

Świadkowie czekają na was... powozy czeka-
ją, czy chcecie jechać?

L E O N I D A .

Już?

RUDOLF. (*do Robertyna*)

Spodziewam się, że mi wyjaśnisz...

R O B E R T Y N .

Nie, to jest jeden z warunków umowy.

R U D O L F .

Rozumiem, zobaczymy jednakże... o losie!
szaleńszym jesteś odemnie!... jedźmy więc...
(*rozmawia z krewnemi*)

L E O N I D A . (*do Robertyna*)

Nim się oddalę, mam jeszcze prosić pana o
jedną łaskę... o pozwolenie widzenia mojej mat-
ki... Oh nie obawiaj się pan niczego... mój los
już ustalony, nie powiem jej, ona by nie przy-
jęła mojej ofiary... słyszę jej głos... ah błagam
cię... niech ją uściskam raz jeszcze... Patrz,
już jestem spokojną, już nie płaczę.

SCENA X.

CIŻ, PANI HEBERT, LUDWIKA.

P. HEBERT. (*wspierając się na ramieniu Lu-
dwiki.*)

Ale idźże prędzej cokolwiek, Ludwiko.

L U D W I K A.

Jaka dziś pani Hebert żwawa!... biegnie jak łania.

P. HEBERT. (*do Leonidy*)

Ciesz się, ciesz kochane dziecko... czy uwierzysz? jeszcze raz wypadły trzy dziesiątki i walet czerwieny.

LEONIDA. (*uśmiecha się z boleścią*)

Ha! ha!

RUDOLF. (*cicho do Robertyna spokojnie*)

To to, właśnie, walet czerwieny, to pewno ja...

P. HEBERT.

Pan Robertyn jest tak dobry!...

L E O N I D A.

To prawda... myślał tylko o mojem szczęściu, o twojem szczególniej... albowiem, gdybyś ty nie była szczęśliwą, mogłażbym ja doznawać szczęścia?

LUDWIKA. (*n. s.*)

Jakto panna jakoś mówi... nie!...

ROBERTYN. (*cicho do p. St. Elme*)

Czy będziemy towarzyszyć państwu młodym?

P. ST. ELME. (*j. w.*)

Tylko nie pan... obawiam się twojej słabości... co do mnie, zejdę razem z niemi, ale oddalę się i pójdę do Ministra.

ROBERTYN. (*j. w.*)

A tak, bardzo słusznie, trzeba iść do Ministra... nie zapominajmy o tém... (*do Rudolfa*)
Podajże jej rękę.

RUDOLF. (*zbliżając się do Leonidy*)
Pani...

P. HEBERT.

No, no, a gdzież wy to ją prowadzić chcecie?

LEONIDA. (*usiłując przewyciężyć sama siebie*)

Mają mię... przedstawić... mojej nowej familji.

P. ST. ELME.

Tak w istocie... uspokój się pani... wkrótce powróci.

LEONIDA. (*uśmiechając się, z wewnętrznem czuciem*)

Zegnam cię! najdroższa matko!

P. HEBERT.

Powracaj jak najprędzej, tu będę czekać na ciebie.

RUDOLF. (*n. s.*)

To małżeństwo ukrywa jakąś tajemnicę, którą ja wyjaśnić muszę.

P. HEBERT.

Ale moje dziecię, cóż znaczy twoje pomieszenie?

L E O N I D A.

Bądź spokojną... to... to... szczęście....

P. HEBERT.

A łzy w twoich oczach!

LEONIDA.

Roskosz je wyciska... wierz mi... Żegnaj cię!

P. HEBERT. (*całuje ją*)

Wszyscy. Jedźmy! (*wychodzą*)

SCENA XI.

P. HEBERT, ROBERTYN, LUDWIKA,
później PUŁKOWNIK GRUDNER.

P. HEBERT.

Ah, łzy Leonidy tyle mi sprawiły cierpienia...
a jednakże nie mamy przyczyny obawiać się...
byłeś z niej zapewne zadowolony panie Robertynie...
ona jest tak dobrą, tak tkliwą... anioł...

PUŁKOWNIK. (*za sceną*)

Ja muszę wejść, do kroćset czartów, ja muszę
wejść, powiadam.

ROBERTYN. (*n. s.*)

Mój brat!... wpuścili go, tylko też jego brakowało!

PUŁKOWNIK.

Co widzę!... pani Hebert tutaj!... a Leonida!...
co za podejrzenie! (*zbliżając się*) Witam panią...
Chciałeś więc zamknąć drzwi przedemną,
zgaduję przyczynę... przysiągłem, iż nie postanę
więcej u ciebie: ale dowiedcie się zaraz dla czego...

ROBERTYN. (*n. s.*)

Co za położenie!... pani Hebert o wszystkiem go uwiadomi. (*głośno*) Gdybyś pani chciała przejść do swojego pokoju.

P U Ł K O W N I K.

Przeciwnie, proszę pani, abys raczyła zostać; to co mam powiedzieć, równie się i jej tycze, chce więc aby mię słyszała. (*do Robertyna*) Gdzie jest Leonida?

ROBERTYN. (*n. s.*)

Djabeł nie człowiek, ale...

P U Ł K O W N I K.

Gdzie jest Leonida?

P. HEBERT.

Dopiero tutaj była, idzie za pana Karola, i dla tej to przyczyny opuściliśmy Surenę.

ROBERTYN. (*n. s.*)

Aj, aj, a pani St. Elme nie wraca, aby mię wykłąć z tego kłopotu!...

P U Ł K O W N I K. (*do Robertyna*)

Otóż twój zamiar odkryty!... pięknie, bardzo pięknie... możesz się nim poszczycić.

P. HEBERT.

Co słyszę?

P U Ł K O W N I K.

Powiedziałem ci wczoraj, żeś głupi, dziś ci powiadam, żeś zły człowiek.

R O B E R T Y N.

Mości panie!... jestem ojcem Karola, mam do niego prawo, WPan nie masz żadnego... Twoja zapalona głowa, zniewoliła mię do użycia gwałtownego środka... i zmuszenia syna, aby się wyrzekł Leonidy; dowiedz się więc, że już rozrządziłem ręką tej młodej sieroty... będzie żoną innego.

P. HEBERT.

Innego?... biedne dziecię!... straciłam ją na zawsze!

P U Ł K O W N I K.

A do kroć set czartów... przysięgam na wszystkie bitwy, w których krew moją przelewałem, że gdybyś nie był mężem mojej siostry... tobym ci dał uczuć, ale wróćmy do rzeczy... jesteś ojcem... kochasz twojego syna... kochasz go tkliwie pomimo okrucieństwa względem niego.

R O B E R T Y N.

Tak! kocham go.

P U Ł K O W N I K.

A więc, kiedyś mi powiedział: bracie, powierzam ci mojego Karola, miej staranie o jego młodości, to moje największe dobro!... Gdybym zamiast wpojenia w niego szlachetnych, uczuć odwrócił go z drogi honoru, zniszczył w nim przywiązanie ku tobie, powiedz, na cóżbym zastu-

zys stając przed tobą... powiedz, powiedz bez obawy; zasłużyłbym, aby mi w łeb wypalić!... Teraz osądź siebie... jakieś sobie postąpił z młodą dziewczyną, którą ci matka powierzyła? bez litości rozdarłeś jej serce! Kto się mógł ośmielić do ustalenia jej losu? jakim prawem rzucaś ją bezwstydnie w objęcia innego?... odpowiedź!...

R O B E R T Y N.

Ale... mój bracie...

P U Ł K O W N I K.

Ta nieszczęśliwa, to dziecicę uwielbienia godne, któreś chciał poświęcić... jest mojem życiem, krwią moją... moją nadzieją całą... moja córką!

R O B E R T Y N.

Sprawiedliwy Boże!

P. HEBERT.

Pan ojcem mojej Leonidy?

P U Ł K O W N I K.

Tak jest... Przez 16 lat łzy i rozpacz były nieodstępniemi mojemu towarzyszami... ona tylko pozostała mi z mojego nieszczęścia, z moich cierpień, i kiedy po pierwszy raz chcę ją nazwać najdroższem córki imieniem, gdy ją do serca mam przycisnąć, ty, ty, mój bracie wydzierasz mi ją na zawsze!

ROBERTYN. (*ze łzami*)

Leonida jego córką!... a w tej chwili... hej! jest tam kto? (*dzwoni i krzyczy z całej siły.*)

P U Ł K O W N I K.

Zkądże ta nowa obawa?

ROBERTYN. (*w największym pomieszeniu*)

W tej chwili... łączą ją wiecznymi śluby...

P U Ł K O W N I K.

Ah nieszczęśliwy!...

SCENA XII.

PUŁKOWNIK, ROBERTYN, P. HEBERT, KAROL,
LEONIDA, RUDOLF, MATYŁDA, P. ST. ELME.

(*wchodzą drzwiami w głębi, p. St. Elme sama wchodzi drzwiami bocznymi.*)

RUDOLF. (*wbiegając pierwszy*)

Wszystko się skończyło.

PUŁKOWNIK i P. HEBERT.

Wielki Boże!

R U D O L F.

Co widzę? Pułkownik!... Leonido! uściskaj twój ojca.

LEONIDA. (*rzucając się w objęcia pułkownika, a potem pani Hebert*)

Oh, mój ojcze!

R U D O L F.

Teraz posłuchajcie mię państwo!... Powiada-

Powiadano mi, że pustota dała mi życie, i że przyszłość moją pustota miała także zakończyć... Posłuszny mojemu przeznaczeniu, miałem już niestety! z Leonidą zawrzeć związek małżeński, chociaż do innej serce mię unosiło. Już wchodzimy do sali, człowiek czarno ubrany, pyszny z swojej otyłości, miał nam podać małżonków pióro... był to bożek hymenu w postaci adjunkta, gdy hałas przy drzwiach powstaje, wpada młodzieniec, i nie najgrzeczniej opiera się temu małżeństwu. Był to Karol: żona moja najpierw go poznała i padła w jego objęcia; jak tylko ona padła, wszystko padać zaczyna, świadkowie, krewni, biórka, krzesła, goście, adjuukt, pliki papierów, wszystko jedno na drugie pada. Podnoszą się nareszcie, kilka słów Karola i Matyldy wyjaśnia wszystko; oni się kochają. Ucieszony tym wypadkiem, proponuję zamianę — on przyjmuje, zostałem więc mężem Matyldy, przysięgliśmy sobie wieczną miłość; (*do p. St. Elme*) małej nam tylko niedostaje rzeczy... zezwolenia pani dobrodziejki. Wyrzekłem się, świetnego losu, który mi przeznaczano. (*do Robertyna*) Tak panie, zachowaj twój majątek,

znowu nie mam nic, ale uczynilem dwoje ludzi szczęśliwych, i tu... jestem bardzo bogaty.

ROBERTYN. (*do Rudolfa*)

Kochany Rudolffie, wykonałeś czyn najpiękniejszy i uwolniłeś mię od popełnienia największego głupstwa... No, jakże, pani zezwalasz, daję im 100,000 franków, wahasz się, a więc drugie tyle, zezwalasz?

RUDOLF. (*n. s.*)

Oh moi wierzyciele! (*zbliża się z Matyldą do p. St. Elme*)

ROBERTYN. (*do Pułkownika*)

Bracie, miałeś słuszność, byłem głupcem.

P U Ł K O W N I K.

Wszystko zapomniane... Nie będziesz poborcą jeneralnym, ale za to szczęśliwym ojcem.

R O B E R T Y N.

To prawda... szkoda jednakże, ubiór już mam gotowy.

P. HEBERT.

Leonido, ty poświęcałaś całą przyszłość twoją...

L E O N I D A.

Ah matko, nie gniewaj się, to dla twego szczęścia.

L U D W I K A.

Pani, mnie się zdaje, że karty już można w ogień

wrzucić, bo już nie będziemy potrzebowali teraz trzech dziesiątek, chyba dla mnie jeszcze.

P. HEBERT.

Upatrywałam w nich szczęścia Leonidy, teraz spełnione wszystkie moje życzenia! (*Po jednej stronie p. Hebert stoi Karol, po drugiej Leonida, przy niej Grudner, Rudolf, i Matylda przy p. St. Elme, Robertyn w środku wszystkich.*)

K O N I E C.

•

KOBIETA
GŁOWĄ DOMU
KOMEDJA

W JEDNYM AKCIE

z francuzkiego, P. Scribe.

PRZEŁOŻONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 28 Września 1836 r.

O S O B Y.

- HORTENSJA, młoda wdowa JP. *Werowska.*
PAN DE MERTEUIL JP. *Szymanowski.*
LEON) de St. Yves, jego
FORTUNAT) synowcowie JP. *Jasiński.*
JULJA, służąca Hortensji JP. *Rostkowska.*
GERVAIS, ogrodnik Hortensji JP. *Majewski.*
-

KOBIETA GŁOWĄ DOMU.

(Scena przedstawia salon.)

SCENA I.

JULJA, GERVAIS.

GERVAIS. (*w środku salonu, trzymając wazon kwiatów.*)

Panno Juljo, czy słyszysz panna, pani dzwoni?

J U L J A.

Słyszę, słyszę... pani żąda sukni ślubnej... ale w takim dniu jak dzisiejszy... nie wiem czego się chwycić pierwszej... idę... idę... (*wychodzi.*)

GERVAIS. (*sam*)

Zdaje mi się, że suknia ślubna, to rzecz dosyć potrzebna... ja na przykład jestem za tém, azeby się wypięknąć jak można najpiękniej, bo zawsze panna młoda, a zwłaszcza wdowa, w takiej chwili powinna być ładna, a potem hulać,

bawić się w dzień wesela, to tak przyjemnie!... szczególnie dla nas, w ten dzień mamy niejaki przywilej podchmienienia sobie trochę. (*Julja wchodzi*) Cóż to, już z powrotem?

J U L J A.

Pani nie chce tej sukni; utrzymuje, że w niej wydawałaby się jak panna młoda, a to właśnie jej się nie podoba... Rzecz szczególna, kiedy kto tak myśli, nie powinien iść za mąż, tylko zostać wdową.

G E R V A I S.

O nie, moja panno... wdowieństwo nic nie warte... szczególnie dla służących... Zawsze jest tylko jedna wola; naturalnie, trzeba jej być posłusznym... w małżeństwie przeciwnie to, co jest zdaniem męża, nie jest zdaniem żony... jeżeli nas jedno pokrzywdzi, drugie nas bierze w opiekę, a często i oboje, bo raz zdarzają się kłutnie, potem znówu się godzą... szczególnie małe doniesienia... jedno płaci, żebyś wszystko mówił co widzisz, drugie ci płaci, żebyś milczał...

J U L J A.

Jakto? i za milczenie sobie płacić każesz?

G E R V A I S.

To są pieniądze najgodniej zasłużone, mil-

czenie nawet jeszcze drożej powinno być płat-
coném. Osądź sama, co to za skarb służący u-
miejący milczeć, w małżeństwie zwłaszcza, gdzie
každyszczęśliwszy jest tém co nie wie, niż tém
co do jego uszu dochodzi.

J U L J A.

Wyznaję, nie sądziłam, żebyś miał tyle ta-
lentu w uważaniu rzeczy, i dla tego myślę, że
przyszły mąż pani wciągnął cię do swoich za-
miarów.

G E R V A I S.

To prawda... pan Fortunat de St. Yves zda-
je mi się być walnym młodzieńcem... naprzód
ma piękny majątek...

J U L J A.

To tylko o nim można powiedzieć.

G E R V A I S.

Ładny chłopiec.

J U L J A.

Głupi...

G E R V A I S.

Dajże pokój... zawsze ma pieniądze w ręku...

J U L J A.

Tak... słusznie mówisz... pieniądz jest rozu-
mem bogaczy.

G E R V A I S.

Nie zawsze... z nam ja takich, którzy ukrywa-

ją swój rozum; a prócz tego, ma postać dobrego, powolnego człowieka...

J U L J A.

To prawda, ani gniewać się, ani rozkazywać ani powagi użyć nie potrafi... zawsze potakujący zdanie ostatniego... Jaby temu nie ufała... tacy ludzie są najgorsi, i nie pojmuję, jak się to stało, że pani będąc młodą, bogatą, panią samą sobie, mogła podobny uczynić wybór.

G E R V A I S.

Jak się stało... bo go kochała.

J U L J A.

Za tobym nie zaręczyła... widzisz sam, jak posępny jest dzień wesela... ani przyjaciół, ani krewnych, żadnych zaprosin, żadnej zabawy ani w salonie, ani w przedpokoju... to mi przykro, miałam prześliczny ubior...

G E R V A I S.

Mówiłaś, że nikt nie zaproszony... a otóż jakiś jegomość z miną familijną, to musi być jaki ojciec, albo kuzyn przynajmniej.

S C E N A II.

CIŻ, PAN DE MERTEUIL.

M E R T E U I L.

Czy można widzieć waszą panią?

J U L J A.

Nie umiałabym tego powiedzieć... Pan zapewne nie wie, że dziś jest ślub...

M E R T E U I L.

Wiem o tem.

J U L J A.

Pani mówiła, że nikogo niespodziewa się.

M E R T E U I L.

To prawda, bo ja przybyłem niezaproszony; proszę donieść, że przyjechał pan de Merteuil stryj nowożeńca.

G E R V A I S.

Zgadłem... Ja zaraz powiedziałem, że pan zakrawał na stryja, lub na jakiegoś krewnego... pan mówił... pan de Merteuil, idę... jestem tak szczęśliwy, że p. de St. Yves... że pański synowiec... (*do Julji*) Pragnąłem od dawna, żeby był pan domu, bo wypełniać rozkazy kobiety...

J U L J A.

No... cóż to?...

G E R V A I S.

Oh tak... jestem tylko ogrodnik; ale dla tego tak dumny jak lokaj... (*do p. de Merteuil*) Idę donieść pani o przybyciu pana.

M E R T E U I L.

Już nie potrzeba... spostrzegam ją...

SCENA III.

GIŻ, HORTENSJA.

HORTENSJA. *(z ukłouem)*

Jako, pan de Merteuil w tych stronach, mnie-
małam, że jeszcze jesteś w głębi Burgundji...
(do służących) Odejdźcie. Gervais, idź do no-
tarjusza, dowiedz się, czy wszystko przygoto-
wane do uroczystości; każesz potem założyć
konia i przyjdiesz mi dać znać.

G E R V A I S.

Dobrze pani... *(n. s.)* Otóż to tak, trzy, czte-
ry rozkazy od razu... ale przecież się to odmie-
ni. *(odchodzi)*

SCENA IV.

PAN DE MERTEUIL, HORTENSJA.

M E R T E U I L.

Pani! jestże to prawda, czegom się dowie-
dział przed chwilą, idziesz za mąż?

H O R T E N S J A.

Tak jest... najdalej za godzinę.

M E R T E U I L.

Czy być może... przed dwoma miesiącami
prosiłem cię o twoją rękę dla młodszego mo-
jego synowca Leona St. Yves, którego wycho-
wałem, którego kocham... mój syn przybrany,

młodzieniec przyjemny, każdy chwali jego dowcip, łagodność, uprzejmość... pani odrzucasz, nie pozwalasz mu nawet przedstawić się, i zażreć niesłuszne względem niego uprzedzenia. Byłem pewny, że pragniesz na zawsze pozostać wdową, kiedy wracając z moich dóbr, dziś rano dowiaduję się, że nieprzystając na odmówieniu ręki Leonowi, zaślubiasz jego! uzyna... człowieka z głową ograniczoną, bez najmniejszych zalet. Zresztą, nie powinienem o nim źle mówić, bo jest także moim krewnym, ale pod żadnym względem nie może się równać z Leonem.

H O R T E N S J A.

Być może...

M E R T E U I L.

Jakimże tedy sposobem mógł zająć twoje serce, bo nakoniec, zostając mężem twojego wyboru, musi posiadać i miłość twoją.

H O R T E N S J A.

Nie.

M E R T E U I L.

I zaślubiasz go?

H O R T E N S J A.

Tak.

M E R T E U I L.

Ah pozwól pani sobie powiedzieć, że podobne postępowanie...

Tom IV.

10

H O R T E N S J A.

Jest dziwaczne, nie do pojęcia... powiedz pan szczerze! z twoją synowicą można mówić otwarcie, bez ogródki...

M E R T E U I L.

A więc, korzystając z pozwolenia, powiem ci, że popełnisz nieroztropność.

H O R T E N S J A.

Jeszcze mnie oszczędzasz... chciałeś więcej powiedzieć...

M E R T E U I L.

A więc... tak pani... głupstwo... i z rodzaju tych, które się usprawiedliwić nie dają.

H O R T E N S J A.

Być może... naprzód, gdyby to tylko ode mnie zależało... byłabym już nigdy w powtórne nie weszła związki... byłabym na zawsze została wdową... tak słodko jest być nieuległą, niezawistą od chęci, od kaprysów pana... czyli męża, jak pan chcesz. Przyznaję się do tego, że lubię rozkazywać... władza ma tyle wdzięku! Ale przekonałam się, że dla nas kobiet, nieuległość jest tylko urojeniem... i wkrótce postrzegłam, że moje marzenie urzeczywistnić, było niepodobna. W towarzystwie, w teatrze, na każdej zabawie, jakże się ukazać samą!... trzeba mimowolnie u-
przejmie znosić grzeczności młodzieży. Zale-

dwie wejść do salonu, pytają się: co to za dama? jest to ta a ta, wdowa... Ah! to wdowa!.. Ten tytuł wdowy ośmiela, nadaje jakąś ufność; każdy sądzi, że ma prawo do mnie, zaczawszy od starego konsyljarza, aż do młodzika, który ledwie szkoły ukończył... Widzisz pan tedy sam, że dla reputacji nie można zostać wdową.

M E R T E U I L.

To właśnie jeszcze jedna więcej przyczyna, aby się dobrze zastanowić nad wyborem małżonka.

H O R T E N S J A.

Właśnie tak uczyniłam!... Najprzód przyrzekłam sobie, że nie pójdę za mąż z przywiązania. Nie zapomniałam także i o tém, że mój pierwszy mąż, który uczynił mnie bardzo nieszczęśliwą, był daleko rozumniejszy odemnie.

M E R T E U I L.

Temu z trudnością daję wiarę.

H O R T E N S J A.

A ja nie wątpię bynajmniej; miał bowiem nademną przewagę, zmuszającą mię zawsze do posłuszeństwa, tak musiałam zawsze wypełniać jego chęci, jakkolwiek dziwaczne i niesprawiedliwe były. Nie tałam przed tobą, że pragnę, zostawszy żoną, być zawsze samowładną panią,

dla tego unikałam ludzi przyjemnych, dowcipnych, pełnych talentów... i dla tego to odmówiłam twojej prośbie, względem pana Leona de St. Yves.

M E R T E U I L.

Przyznaję, że odmowa z tego względu jest bardzo zaszczytną dla mojego synowca, i pojmuję teraz, jakim sposobem jego szczęśliwy kuzyn odniósł nad nim pierwszeństwo.

H O R T E N S J A.

Proszę nie mówić nic niekorzystnego na przedmiot mojego wyboru... We wszystkim można znaleźć sprawiedliwą i średnią drogę: może być mężczyzna miły, nie będąc zachwycającym, i bardzo uprzejmym, nie będąc Volterem.

M E R T E U I L.

To prawda, ale przynajmniej litość nie utraciła prawa do twojego serca; pewny jestem, że mój synowiec jest w rozpacz. Gdybyś go pani słyszała, tak jak ja, w chwili, kiedy dowiedział się o twojem odmówieniu, gdybyś czytała jego listy, gdybyś wiedziała, ile partji odrzucił dla ciebie.

H O R T E N S J A.

Dla mnie!

M E R T E U I L.

Tak pani, jeszcze czas! zerwij to małżeństwo, albo przynajmniej opóźnij je na dni kilka.

SCENA V.

CIŻ I GERVAIS.

G E R V A I S.

Jakiś młody człowiek pragnie mówić z panem de Merteuil.

M E R T E U I L.

Ah Boże! gdyby to był on... gdyby przyjechał błagać mię, ażebym starał się użyć ostatnich sposobów... Pani, coż mu odpowiem?

H O R T E N S J A.

Że... rzeczy już za daleko posunięte... że... może gdyby nie to... ale wszystko już przygotowane do ślubu, nieprawdaż?

G E R V A I S.

Tak pani, wszystko już gotowe.

H O R T E N S J A.

Widzisz sam... czekamy tylko mojego przyszłego męża.

G E R V A I S.

Jest tutaj... w małym salonie... ale wiedząc, że pani jest z tym panem... oczekuje rozkazów, aby się mógł przedstawić.

M E R T E U I L.

Żegnam cię pani...

H O R T E N S J A.

O nie... spodziewam się, że pan z nami ten dzień przepędzisz... nie jesteś naszym najbliższym krewnym?... zobacz tylko, czego chcą od ciebie, i kto pragnie widzieć się z tobą.

G E R V A I S.

Jest to młody wieśniak, trzyma list w rękę.

M E R T E U I L.

Ponieważ pani tak chcesz, powróce za chwilę.

SCENA VI.

H E R T E N S J A, G E R V A I S.

H O R T E N S J A.

Czyliż widziano kiedy podobny upór... mogłażem sądzić, że ten młody człowiek, którego zaledwie dwa czy trzy razy widziałam w towarzystwie... takim uczuciem przepęłni serce!... Ah! zapominam o moim mężu! (*do Gervais*) Powiedz mu, że może wejść... (*Gervais wchodzi do salonu na lewo*) Próżne wszystkie starania pana de Merteuil... nie mam sobie nic do wyrzucenia... a jeżeli mię kocha, jest to nie-szczęście, ale nie z mojej winy.

SCENA VII.

G E R V A I S, H O R T E N S J A, S T. Y V E S.

G E R V A I S.

Tak jest, pani już jest widzialną, i czeka na pana. (*odchodzi.*)

H O R T E N S J A.

Nie wiedziałam, że byłeś w saloniku, przepraszam... Zapewne nudziłeś się?

S T. Y V E S.

Nie, wcale... siedziałem sobie w fotelu, i здаje mi się, że zdrzemał się troszeczkę... a potem ja nigdy się nie nudzę, kiedy śpię, i niecierpliwic się nie mogę.

H O R T E N S J A.

To bardzo dobrze... ale mogłeś być przyjść, mówiłam tu bowiem z panem de Merteuil, twoim stryjem.

S T. Y V E S.

Ah, mój stryj jest tu, to mię bardzo cieszy, he, he... to jest, że bardzo się cieszę... to się ma rozumieć, że to dla mnie wszystko jedno, czy on tu jest, czy go nie ma, bo on mnie nigdy bardzo nie kochał... a to z przyczyny mojego kuzyna Leona, którego przenoślił nade mnie... Czy znasz pani mojego kuzyna Leona?

H O R T E N S J A.

Bardzo mało.

S T. Y V E S.

A więc zobaczysz pani wcale przystojnego chłopca... mówią, żeśmy do siebie podobni; ale on jest daleko... odemnie... a potem mój kuzyn, to jest sobie człowiek wcale nie głupi, ma edu-

kację, znajomość świata, a jakie posiada nauki... ha! mogę śmiało powiedzieć, że on podwójnie się uczył w szkołach, bo lubo nasze powinności były też same, ale on zawsze za mnie i za siebie odrabiał wszelkie zadania, i lubośmy jednakowo postępowali z jednej klasy do drugiej, ale on za mnie i za siebie w rozumie postępował, ja nie lubię się gniewać, a przynajmniej rzadko mi się to przytrafia, więc ile razy mnie kto obraził, to on się za mnie gniewał, bo przyznam ci się pani, że ja sobie dawniej byłem tak do niczego... (*śmiejąc się*) dla tego też pewny jestem, że nie stracę mojej pracy, ha, ha, ha!

H O R T E N S J A.

Bądźże cicho, gdyby cię usłyszano.

S T. Y V E S. (*z postawą uległą i poważną*)

Już milczę.

H O R T E N S J A.

Czy dopełniłeś naszej umowy?

S T. Y V E S.

O! pani, wszystko co do joty... byłem u kupcowej strojów... u restauratora, u jubilerza, u złotnika, i u mera, i pewny jestem, że pani byłaś kontenta z koczyka ślubnego, który wczoraj przysłałem, nie prawda... podobał się...

H O R T E N S J A.

W istocie... bardzo piękny... tak gustowny...

S T. Y V E S.

Wierzę... bo też to i nie ja wybierałem to wszystko... oho, ja nie tak głupi, ha, ha... poleciłem to mojemu kuzynowi Leonowi, bo on... zna się dobrze na tych wszystkich drobiazgach... gałgankach... ha! ha, ha...

H O R T E N S J A.

Mówiłam ci, że mogą usłyszeć...

S T. Y V E S.

Już milczę!... ah! oto twoja miniatura pani... jeżeli ci się nie podoba oprawa, to nie moja wina... ja chciałem kazać w brylanty oprawić.. ale mój kuzyn Leon nie chciał... czy wiesz dla czego?... to śmieszne, powiedział... tak powiedział... Na, cóż tu brylanty, ci, którzy patrzeć będą na tę miniaturę, nie zwrócą oczu na brylanty... no proszę, co za głupstwo, malowanie tylko malowanie, a brylanty są zawsze...

H O R T E N S J A.

Brylanty.

S T. Y V E S.

Ehe... to chciałem powiedzieć... ja mu też powiedziałem: »Czyń jak chcesz!«

H O R T E N S J A.

Jakto? więc i on także...

S T. Y V E S.

Tak pani... ale już w niczem jego porad słuchać nie będę, dla takiej oprawy ośm dni miał u siebie miniaturę, przez ten czas można było drugą taką kazać wymalować, ale to prawda, że w Paryżu... wszyscy są tak opieszali w robocie... ha... ha...

H O R T E N S J A.

Czy jeszcze?

S T. Y V E S.

Już milczę... ale zawsze powinnaś go pani wyburczyć, bo to nie ja zawiniłem... on tu przyjdzie niebawem.

H O R T E N S J A.

Tu przyjdzie... jakto?...

S T. Y V E S.

Ja go zaprosiłem sam na moje wesele, będąc dziś rano w Paryżu... co do innych moich krewnych, ci prawie wszyscy mieszkają w okolicy i przybędą tu za chwilę.

H O R T E N S J A.

Tylko tego nie dostawało, dla czegoż zaprosiłeś ich nie zapytawszy mię o to... powiedziałam ci, aby ten związek odbył się spokojnie, cicho.

S T. Y V E S.

Ja też dopełniłem twoich rozkazów, małżeństwo incognito... na wsi...

H O R T E N S J A.

Tak, ale twój kuzyn... twoi krewni...

S T. Y V E S.

Ah mój Boże! cóżem w tém złego uczynił?
pani będziesz się gniewać na mnie.

H O R T E N S J A.

Nie, wcale, lecz po ślubie będziesz tak do-
brym i udasz się natychmiast z przeproszeniem
do wszystkich, że ich przyjąć niemożesz.

S T. Y V E S.

Dobrze, odproszę wszystkich.

H O R T E N S J A.

Co zaś do twojego kuzyna Leona... nie mo-
żesz wrócić do Paryża, sześć mil...

S T. Y V E S.

Nie mogę, to prawda.

H O R T E N S J A.

Trzeba mu więc pozwolić przedstawić się...
ale potem... nakoniec znajdziemy jaki pozór...

S T. Y V E S.

Tak pani, znajdziemy.

H O R T E N S J A.

Co do twego stryja p. de Merteuil... ah, otóż
on.

SCENA VIII.

CIŻ I P. DE. MARTEUIL, później GERVAIS.

S T. Y V E S.

Dobrze... odprawię go natychmiast, idę...

H O R T E N S J A.

Przeciwnie.

S T. Y V E S.

Ponieważ on jest także moim krewnym, zaczęną od niego.

H O R T E N S J A.

Owszem, chcę abys go zaprosił, zeby z nami dzień dzisiejszy zabawił.

S T. Y V E S.

Ale mówiłaś mi dopiero...

H O R T E N S J A.

Ale teraz mówię inaczej, a staraj się nade wszystko, abys się to zdawało, ze to zaproszenie jest z twojej strony.

S T. Y V E S.

Dobrze pani.

H O R T E N S J A. (*do p. de Merteuil*)

I cóż panie do Merteuil, jakąż odebrałaś wiadomość?...

M E R T E U I L.

Wcale nie to, co myślałem... Jest to interes bardzo delikatny, dano mi tedy potrzebne objaśnienia...

S T. Y V E S. (*idąc do niego*)

Czy zdrów jesteś kochany stryju?

M E R T E U I L.

Zdrów, kochany Fortunacie... winszuję ci twojego szczęścia... Wyznam ci także, iż gdy-

by pierwój mnie ó radę proszono, to, co dziś się wydarza, pewnoby nie miało miejsca... Ale cóż, kiedy nie można inaczej uczynić, trzeba dopomagać.

S T. Y V E S.

Czy tak?... czy tak to dobry stryj mówić powinien?... Otóż to zawsze był takim dla mnie... Ale mimo to... polecono mi zaprosić cię na obiad, ale proszę niech ci się nie zdaje, że to zaproszenie jest z mojej strony... ha, ha, ha...

HORTENSJA. (*spogląda na niego, on zamilcza natychmiast*)

Przyjmujesz stryju, nieprawdaż?

M E R T E U I L.

Tak, przyjmuję... ale proszę cię, nie myśl, że twoim świadkiem będę.

S T. Y V E S.

Nie potrzebujemy... już mam ich dosyć... uwiadomieni o tem... czekają... Mer mieszka o kilka kroków, i tylko podpisów naszych brakuje.

GERVAIS. (*z wielkim bukietem*)

Kareta Jaśnie wielmożnego pana.

H O R T E N S J A.

Co?... co to jest?... co mówisz?...

GERVAIS. (*głośniej*)

Kareta Jaśnie wielmożnego pana.

Tom IV.

11

HORTENSJA. (*z uśmiechem*)

Tak, to słusznie.

S T. Y V E S.

Idźmy więc.

H O R T E N S J A.

Idźmy. (*do p. de Merteuil*) Aby dopełnić tego dnia szczęśliwego, z tobą go przepędzimy.

M E R T E U I L.

Czekam z powrotem.

(*St. Yves i Hortensja wychodzą*)

G E R V A I S. (*idąc za nimi*)

Åh, przynajmniej już teraz mam pana, nie będę wcale słuchał pani, i to rozkosz nie mała. (*odchodzi*)

S C E N A IX.

M E R T E U I L, J U L J A.

M E R T E U I L.

Na honor...

J U L J A. (*wchodząc tajemniczo*)

Panie, panie...

M E R T E U I L.

Zkądże ta postać tajemnicza?...

J U L J A.

Jako stryj mojego pana i mojej pani, sędzę, że powinienes wiedzieć o wypadku, który się tycze może obojga państwa.

M E R T E U I L.

Cóż takiego?

J U L J A.

Ten niby wieśniak, ten sam, który przyniósł list, przystąpił do mnie skrycie i rzekł mi po cichu do ucha: Panno Juljo, pewny młodzieniec, znający przywiązanie twoje do pani, chciałby ci powiedzieć ważną tajemnicę; za kwadrans bądź w małym pawilonie przy końcu ogrodu; twój majątek od tego zawisł.

M E R T E U I L.

Czy to już wszystko?

J U L J A.

Wszystko... ale... ale, odbiegając upuścił ten worek, w którym zapomniał dwadzieścia dukatów... Pytam się teraz, co pan mówisz o tém?

M E R T E U I L.

Ale ty, co o tém sądzisz?

J U L J A.

Ja, nic. Myślę tylko, że jest jeden z wielbi-
cieli pani, nieszczęśliwy pretendent, może ten
sam młodzieniec, którego pani odrzuciła, pan
Leon, synowiec pana dobrodzieja. Pytam się
teraz, czy mam iść na umówione miejsce, czy
nie? jest to interes dla mojej pani, dla tego mię
w taki kłopot wprowadza; gdyby to był mój
własny, nie wahałabym się ani na chwilę.

M E R T E U I L.

Czyń co zechcesz.

J U L J A.

Dziękuję... powinnością moją było uprzedzić pana o tém, nigdybym się nie odważyła wziąć cokolwiek bądź na siebie; ale kiedy pan wie o tém i upoważnia mię...

M E R T E U I L.

Wcale nie... ja tylko powiedziałem, czyń co chcesz, ale widzę, że masz wielką ochotę iść na tę schadzkę.

J U L J A.

Tak panie, pójdę powiedzieć mu, że teraz moja pani już poszła za mąż, o czém nie wie zapewne, i że tém samém słuchać go nie mogę... Jak mi się zdaje, to wolno mi uczynić nie uchybiając przyzwoitości...

M E R T E U I L.

Bardzo dobrze... bardzo dobrze... i tém więcej cię to obchodzi, że zdaje mi się, nie bardzo lubisz męża twojej pani.

J U L J A.

Proszę mi przebaczyć, ponieważ to także jest synowiec pana dobrodzieja... Ale ja go cierpieć nie mogę; i gdyby pani poszła za mojami radami... zresztą teraz jużby się na nic nie przyda-

ły... Ah otóż i on... mąż mojej pani... powinienam mu służyć z całą gorliwością i przywiązaniem ..biegnę do małego pawilonu. (*wychodzi*)

HORTENSJA. (*za sceną*)

Dobrze mój mężu, dobrze; ale wracaj jak najprędzej.

SCENA X.

MERTEUIL, HORTENSJA.

M E R T E U I L.

Jakto! już obrzęd ślubny ukończony?...

H O R T E N S J A.

Ah mój Boże, tak... ale czas podpisywania w tej wielkiej księdze, a potem słuchania tego co pan adjunkt napisał...

M E R T E U I L.

Zapewne to pani smutne myśli na pamięć przywiodło.

H O R T E N S J A.

Nie, wcale... ale przyznasz pan sam, że nie ma nic zajmującego w aktach urzędnika cywilnego.

M E R T E U I L.

Prawda, nie jest to tak wesołe jak romans... przecież wielu ludzi utrzymuje, że małżeństwo jest romanssem.

HORTENSJA. (z uśmiechem)

W każdym przypadku nie należałoby go sądzić z pierwszego rozdziału.

M E R T E U I L.

Ale powiedźże mi pani, gdzie jest mój synowiec, twój mąż?... nie przyszedł z tobą?

H O R T E N S J A.

Poszedł do swoich krewnych, których zaprosił, nie uprzedziwszy mię o tém, a ja właśnie nie chcę przyjmować gości... Chciałabym, żebyśmy tylko we troje zostali... w małym gronie.....

M E R T E U I L.

Jakżeż mógł opuścić cię, choćby tylko na kilka chwil?...

H O R T E N S J A.

Ha! musiał to uczynić, żądałam tego, taka była moja wola.

M E R T E U I L.

Przebacz mi pani... zapomniałem, że pani w intercyzie ślubnej zastrzegłaś sobie prawo rozkazywania.

H O R T E N S J A.

Nie, bynajmniej... ale pewną jestem, że to prawo mieć będę.

M E R T E U I L.

I sądzisz pani, że w małżeństwie to szczęście zastąpi miejsce wszystkich uciech?

H O R T E N S J A.

Prawie... i znam wiele kobiet, które byłyby
mojego zdania... Bo przynajmniej kiedy wszyst-
kie uciechy i przyjemności są nietrwałe, ta
jedna całe życie trwać może. Młodość i miłość
przeminaż czasem, a rozkazywać można zawsze.

SCENA XI.

C I Ż I G E R V A I S.

G E R V A I S.

Jakiś pan pragnie mówić z panią.

H O R T E N S J A.

Czego chce?

G E R V A I S.

Panna Julja go przyjęła, powiedziała mi, że
przyjechał powozem z Paryża, i że się nazywa
Leon de St. Yves... jest kuzynem naszego pa-
na... przystojny człowiek...

H O R T E N S J A.

Co? pan Leon? Powiedz, że go nie mogę przy-
jąć... albo raczej, że mię nie ma w domu.

G E R V A I S.

Nie mogę powiedzieć, że pani nie ma... bo
już mu powiedziano, że pani jesteś.

H O R T E N S J A.

Któż wam tak czynić zalecił?

G E R V A I S.

Nasz pan rzekł odchodząc: idę odprosić nie-

których moich krewnych, ale gdyby kto z nich przybył, zaprowadzić go zaraz do pani.

H O R T E N S J A.

To dobrze; ale ten rozkaz nie ściąga się weale do pana Leona, możesz go odesłać...

G E R V A I S.

Niepodobna... pan nie kazał nikogo odsyłać... a ponieważ teraz mamy pana, przeto on ma prawo rozkazywać...

H O R T E N S J A.

Otóż mamy coś nowego!

M E R T E U I L.

Uspokój się, proszę cię... i po doniesieniu twoich służących, nie możesz Leonowi odmówić przyjęcia.

H O R T E N S J A.

Jako, pan chcesz?...

M E R T E U I L.

Podobne odmówienie wydawałoby się szczególnem: jest to krewny twojego męża, i prędzej czy później; zawsze wypada przyjąć jego odwiedziny... a potem w dzień ślubu... wizyta ceremonialna, to trwa bardzo krótko, pięć minut.

H O R T E N S J A.

Ponieważ pan sądzisz, że tak przyzwoitość każe... (do Gervais) Niech wejdzie, powiedz Julji, że proszę go. (Gervais okazuje radość)

G E R V A I S.

Oh nie, ja pójdę sam, zobaczę co to za jeden. (*n. s. odchodząc*) Aha! już jeden rozkaz pana wypełniony, będzie tego więcej.

H O R T E N S J A.

Dla czegoż ty chcesz go widzieć?

G E R V A I S.

Ponieważ pan kazał mi wszystko uważać, co się tu dzieć będzie, aby mu donieść o tem dokładnie.

H O R T E N S J A. (*z gniewem*)

Jakto! (*wstrzymując się, obojętnie*) Odejdź... (*Gervais wychodzi*) Nie mogę przyjść do siebie... podobna myśl... rozkaz tak niestosowny...

M E R T E U I L.

Są ludzie ciekawi, którzyby radzi wiedzieć wszystko, no, kiedy ty będziesz przyjmować powinszowanie, ja pójdę zjeść cokolwiek.

H O R T E N S J A.

Jako, zostawiasz mię samą?

M E R T E U I L.

Jeszcze dziś nic nie jadłem!... dzień wesela!... myślałem o śniadaniu przepyszne...

H O R T E N S J A.

Ależ obecność twojego synowca...

M E R T E U I L.

Nienasyci mojego żołądka, a przyjemność oglądania go, nie ułagodzi mojego apetytu... po-

wrócę za chwilę... nie czyn sobie dla mnie przykrości... będę prosił twoich ludzi o szklanę madery... i cokolwiek bądź...

H O R T E N S J A.

Wydam rozkazy...

M E R T E U I L.

Ale proszę... już ja im sam rozkażę... jeżeli na to pozwolisz... dziś tylko... do widzenia. (*wychodzi*)

SCENA XII.

HORTENSJA, LEON. (*szatyn pięknie ubrany*)

LEON. (*w kulisie*)

To dobrze mój kochany, nietrudź się dla mnie, ja sam się zaanonsuję. (*witają się*)

H O R T E N S J A.

Przykro mi to, że mojego męża nie ma... pozbawi się przyjemności widzenia pana w naszym domu.

L E O N.

Może na drugi raz będę tak szczęśliwym zastać go: prócz tego, są tu bardzo piękne przychyny, że w tej chwili nieobecność jego nie zwraca mojej uwagi.

H O R T E N S J A.

W istocie... panie...

L E O N.

A potem, łatwo pani domyśleć się możesz, że

nie z moim kuzynem pragnąłem miłą zabrać znajomość... już my się znamy od dawna... byliśmy razem w szkołach... nigdy prawie nierozłączaliśmy się ze sobą, i przepowiadałem mu, że jego imie szczęście mu przyniesie.

HORTENSJA. (*z uśmiechem*)

Mówiono jednakże, że w szkołach pan byłeś szczęśliwszym od niego.

LEON. (*patrzac na nią*)

To prawda, ale później on powetował to sówicie, i przybywam połączyć moje powinszowanie z życzeniami przyjaciół; związek który zawarł jest tak godny zazdrości... Raczyszże pani przyjąć moje powinszowanie?...

H O R T E N S J A.

Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli przyjemność złożyć mu je nawzajem... Przy takim majątku, przy tylu zasługach, niepodobna abyś pan wkrótce nie znalazł osoby godnej tego zaszczytu. Proszę mi wierzyć, że pragnę tego więcej jak kto inny, i że mi będzie bardzo przyjemnie znaleźć w żonie pana kuzynkę i przyjaciółkę.

L E O N.

Tęj przyjemności pani mieć nie będziesz... gdyż ja... nie ożenię się nigdy.

H O R T E N S J A.

A to dla czego?...

L E O N.

Wybrałem jedną... wybór mój byłiby wszyscy zgodnie potwierdzili... uprzejmość, dowcip, wdzięki, wszystko w niej było połączone, ale ta, która była jedynym uczuć przedmiotem, odrzuciła moje hołdy, nawet nie raczyła mię przyjąć... Przysiągłem, że się pomszczę, że o niej zapomnę; ale zastanowiłem się później, że mój gniew był niesłusznym, przysięga niepodobną do wykonania... że równie w jej mocy nie było kochać mię, jak w mojej zaprzestać ją uwielbiać... Nakoniec, idąc za temi uczuciami, każde z nas poszło za głosem swego serca... ona poszła za mąż, a ja zostanę bezżennym.

H O R T E N S J A.

Jakto! pan...

L E O N.

Tak jest pani... to moje ostateczne postanowienie... i nie mówię to dla tego, abym sobie ujął serce, bo już niczego nie żądam, nie mam żadnej nadziei, i w istocie nie wiem, na co bym już mógł być przydatnym, kiedy mię nawet na męża dobrym nie uznano... a wiesz pani dobrze że to nie jest...

HORTENSJA. (*z uśmiechem*)

Poznaję, że to odmówienie nietylko dotknęło twoje serce, ale nawet zraniło twoją miłość własną... Ale może jesteś w błędzie, jeżeli w istocie osoba, o której mówisz, lękając się znaleźć pana nad sobą, obawiała się tylko przewagi twojej? Jeżeliby ona, przypuścmy tylko, chciała ci oddać swoją rękę pod warunkiem, iż zostanie zawsze panią samowładną, niezawistą, cóżbyś uczynił?

L E O N.

Cobym uczynił?... Ja sam odrzuciłbym tę ofiarę.

H O R T E N S J A.

Czy tak?...

L E O N.

Pomimo mojego przywiązania, więcejbym to dla niej, jak dla siebie uczynił, podług mnie szlachetna miłość mężczyzny uzacnia kobietę, ale być kochaną tylko z rozkazu, to zdaje mi się poniżającym dla żony.

H O R T E N S J A.

A więc tylko panowanie nad nami jest dla was ponętą w małżeństwie.

L E O N.

Nie pani, tego nie powiedziałem... przeciwnie chciałbym, ażeby w dobrym związku nikt nie

rozkazywał, nikt nie miał widocznej przewagi... Kiedy mąż chce ją dać uczuć, staje się okrutną; upokarzającą, jeżeli żona chce jej doświadczać. Między dwojgiem kochanków, między mężem i żoną, kochającemi się, miłość, uciechy, wszystko jest wspólnem, dla czegożby władza była tylko jednego wyłączną własnością... Mężczyzna najdziwaczniejszy może często mieć słuszość, kobieta najrozumniejsza może czasem zbłądzić... Dla czegoż więc nie oświecać się wzajemnie? dla czegoż oboje panować nie mają? Ah, gdyby było niebo prośb moich wysłuchało, gdyby ta, którą kocham, czułą była na moją miłość, nie byłbym jej niewolnikiem, ale przyjacielem, przewodnikiem, doradcą... Ona nawzajem byłaby tém samem dla mnie, pyszniłbym się, ustępując jej zdaniu, wypełniając jej wolę, ale kiedy te nie byłyby jarzmem kaprysu, ale głosem rozsądku; a może i ona sama... Ale przebacz mi, mimochętnie odbiegłem od celu, który mię tu sprowadził, zapominam, że podobne myśli już dla mnie stracone, i że te zarisy szczęścia inny ma urzeczywistnić.

SCENA XIII.

CIŻ I GERVAIS.

GERVAIS.

Czy mają dać do stołu? już piąta godzina.

HORTENSJA.

Jakto? już!... a mój mąż?

GERVAIS.

Powraca, spostrzegłem powóz przy końcu alei. (*n. s.*) Ah do diabła! zdaje mi się, że byli bardzo blisko siebie, i że ten jegomość coś mówił z żywością... trzeba to sobie naznaczyć...

LEON.

Jakto, mój kuzyn Fortunat już z powrotem.

HORTENSJA.

Nie pragnąłeś się z nim widzieć?

LEON.

Tak, przed chwilą, to prawda, ale teraz... wyznaję, że przybywając tu, stale postanowiłem spokojnie powinszować mu jego związku; zdawało mi się, że miałem do tego odwagę... czuję teraz, że mi na niej zbywa, że bytoby mi niepodobieństwem dopełnić mojego zamiaru; proszę cię tedy pani, racz pozwolić, abym się oddalił.

GERVAIS. (*n. s.*)

Oho! chce umykać jak mąż przyjeżdża... Oh, to źle!

H O R T E N S J A.

Wistocie, nie mogę na to zezwolić... byłeś pan tu w czasie jego niebytności, a chcesz oddalić się w chwili jego przybycia... to uchybiałoby przyzwoitości...

L E O N.

To prawda! ale ten postępek byłby daleko rozsądniejszym.

H O R T E N S J A.

Jesteś panem twoich czynności, ale to sprawiłoby mi wielką przykrość.

L E O N.

A więc zostaję, zostaję, nie chcę być nieposłusznym pierwszemu twojemu rozkazowi.

H O R T E N S J A.

Dziękuję panu za tę uprzejmość, ale czekając obiadu, zostaniesz w salonie pana de Merteuil, twojego stryja; za chwilę przyjdziemy do was. Gervais, zaprowadź pana i powiedz, aby natychmiast dawano do stołu. (*Leon prowadzony od Gervais wchodzi do salonu na lewo*)

SCENA XIV.

HORTENSJA, potem JULJA.

H O R T E N S J A.

Tak, zdaje mi się, że powinnam go była zatrzymać; p. de Merteuil i mój mąż będą mi

wdzięczni za to... prócz tego, nie wiem, dla czego obawiałam się widzieć go; utworzyłam sobie o nim zupełne inne wyobrażenie... myślałam, że to będzie trzpiot, modniś... i w istocie początek rozmowy zdawał się potwierdzać moje mniemanie, ale koniec tejże... ah tak... on jest zbyt rozsądnym, ażebym go kiedykolwiek obawiać się miała...

JULJA. (*wchodząc*)

Pani...

HORTENSJA. (*nie widząc jęj, ani słysząc*)

Jako! pomimo miłości dla mnie, byłby miał moc, odwagę, oprzeć mi się... chciałabym to widzieć.

J U L J A.

Pani!

H O R T E N S J A.

Ah, to ty Juljo?

J U L J A.

Tak pani, już kilka razy mówiłam... ale pani byłaś zamysłona, zajęta.

H O R T E N S J A.

Ja... bynajmniej... co za myśl!... Cóż tam? czego chcesz odemnie?

J U L J A.

Prosić pani, abyś zeszlana dół na chwilę, i starała się uspokoić pana, w takim jest gniewie...

H O R T E N S J A.

On, w gniewie!... ha, ha! to musi mu być bardzo o do twarzy!

J U L J A.

Sądzisz więc pani, że ludzie rozumni gniewać się tylko potrafią...

H O R T E N S J A.

Cóż to za mowa!

J U L J A.

Przebacz pani...

H O R T E N S J A.

Cóż tedy mój mąż?...

J U L J A.

Pan jechał sam w kabrioletcie, i wyjeżdżając, przez niezręczność zawadził w bramie wjazdnej; rozgniewał się natychmiast do najwyższego stopnia, powstał z krzykiem na odźwierne-go, zapewne o to, że brama za wązka... w tém postrzegłszy dwa piękne wazony, ozdabiające przedsiónek, i które widać niepodobały mi się, kazał je potłuc.

H O R T E N S J A.

Jako! alabastry sprowadzone z Włoch, te dwa starożytne wazony?

J U L J A.

Ja też to właśnie powiedziałam panu: co pan czyni, to są starożytne wazony, mają przynajmniej po dwa tysiące lat; wie pani co mi na to odpowiedział, naprzód wyraz niegrzeczny, którego

nie powtórzę, a potem: »Otóż przyczyna! właśnie dla tego, kiedy mają dwa tysiące lat, to już dosyć się wysłużyły!« Na te słowa każdy mimowolnie się uśmiechnął; tu dopiero nie zdołałam ci pani opisać jego gniewu. A ponieważ przy pani, nasz pan jest samą łagodnością i dobrocią, ponieważ wypełnia natychmiast najmniejsze pani rozkazy, dalibóg, dobrzeby pani uczyniła, gdybyś mu rozkazała mieć cokolwiek więcej rozumu, ale to natychmiast... Ho! czy słyszysz pani! jeszcze nie skończył swoich hałasów... tu idzie! ja uciekam!

SCENA XV.

HORTENSJA, ST. YVES. (*w pierwszym ubiorze*) GERVAIS.

S T. Y V E S.

Co znaczy podobne zuchwalstwo... ja ich nauczę... niech wam się to jeszcze raz przytrafi... (*sposstrzegając Hortensją, mówi do niej głosem łagodnym*) Ah, pani jesteś tu, proszę cię, ażebyś użyła twojej powagi nad swemi ludźmi, którzy uchybiają mi winnego uszanowania.

H O R T E N S J A.

Zdaje mi się, że nie potrzebujesz mojej po-

mocy, i że dosyć dobrze zajmujesz się przywiezieniem ich do posłuszeństwa.

S T. Y V E S.

Przebacz; ale ścierpieć nie mogę, aby służący ośmielali się odpowiadać mi, kiedy do nich mówię.

H O R T E N S J A.

Jednakże, jeżeli się Wpan pytasz ich...

S T. Y V E S.

Ah prawda, pani masz słuszość, i jestem zupełnie twojego zdania... dla tego też pragnę zawsze być ci posłusznym, tobie tylko, to dobrze, ale twoim służącym... to co innego, jestem na ich usługi, i będę cię prosił o pozwolenie wypędzenia wszystkich, wyjąwszy poczciewego Gervais, o ten... (*uderzając go po ramieniu*) To dobra dusza, my się dobrze rozumiemy... nieprawdaż?...

H O R T E N S J A.

Czy tak sądzisz?... masz tedy w nim zaufanie, to dobrze... ale powiedz mi, czy podobna zażyłość jest przyzwoitą?... a ponieważ o tem mówimy, co znaczą rozkazy dane mu tego poranku?... chcę, aby się wytłómaczył w tym względzie to i w twojej obecności... No, odpowiadaj.

GERVAIS. (*do St. Yves*)

Panie, czy mam odpowiedzieć?

S T. Y V E S.

Tak, tak.

G E R V A I S.

A więc... w tym interesie, który mi pan zalecił... ażebym bacznie uważał co pani czynić będzie... dostrzegłem właśnie następującą...

H O R T E N S J A.

Dosyć tego, milcz...

G E R V A I S.

Panie, czy mam milczeć?

S T. Y V E S.

Ale tak.

H O R T E N S J A.

Czy mam wierzyć temu co on mówi?... czy to prawda, ażebyś mógł...

S T. Y V E S.

Posłuchaj mnie pani; wiem co jestem wart... znam się bardzo dobrze. Pani masz dowcip, a ja go nie mam... gdybym go miał choć trochę, nie używałbym tych ostrożności... ale kiedy się go nie ma, trzeba przedsięwziąć stosowne środki.

G E R V A I S.

To dobrze pomyślano...

H O R T E N S J A.

Cicho!

G E R V A I S.

Panie, czy mam być cicho?

S T. Y V E S.

Milcz.

G E R V A I S.

Dobrze panie...

H O R T E N S J A.

Przynajmniej należało wybrać sposób godniejszy.

S T. Y V E S.

Nie wiem co w tym złego, że chcę wszystko wiedzieć... chociaż się jest głupim, można być dla tego ciekawym.

G E R V A I S.

To prawda, jest tylu głupców ciekawych...

H O R T E N S J A.

Należało po prostu udać się do mnie... byłoby mi przyjemnie opowiedzieć ci wszystko, co się stało w czasie twojej nieobecności, powiedziałabym ci, że twój kuzyn Leon przyjechał odwiedzić nas, że przyjechał właśnie w chwili, kiedym mówiła z panem de Merteuil.

G E R V A I S. (*cicho do St. Yves*)

Tak, ale stryj odszedł i zostawił ich samych.

H O R T E N S J A.

Rozmawialiśmy z sobą kilka minut.

G E R V A I S. (*cicho do St. Yves*)

Przeszło godzinę całą, a gdym doniósł, że pan przyjechał, pani powiedziała: »już!«

H O R T E N S J A.

Cóż to, co Gervais mówił do ciebie?

S T. Y V E S.

Nic to, pani... tylko...

H O R T E N S J A.

To dobrze!... (*do Gervais*) Już nie jesteś w moich usługach!... precz!

G E R V A I S.

Panie, czy mam pójść?...

S T. Y V E S.

Tak jest... jeżeli pani tak chce; ale będę przymuszony wziąć innego do tejże samej powinności... lepiejby więc było zatrzymać tego, który już wie o wszystkim.

H O R T E N S J A.

Jakto, W Pan trwasz ciągle...

S T. Y V E S.

Pozwól pani... przyrzekłem wypełniać we wszystkim jej chęci, w tém, co się tycze szczegółów gospodarstwa, zarządu, to bardzo dobrze... ale co do osobistości, to już do mnie należy... to są rzeczy, których ważności pani nie czujesz; a ponieważ tu idzie o mojego kuzyna Leona, teraz sobie przypominam, widzisz pani co to jest być... jakem to pani powiedział niedawno, i nie dawać baczenia... przypominam sobie teraz bardzo dobrze, że miał twoją mi-

niaturę w swoich ręku... że spoglądał na nią oczyma... że mówił do mnie głosem pełnym westchnień... Oh, on tu nie przyszedł bez kozery, i biegnę wywieść się o tem... musimi wytłómaczyć...

H O R T E N S J A.

Co WPan mówisz... w taki dzień rozpocząć awanturę!

S T. Y V E S.

Bynajmniej... wcale się gniewać nie będę, ale mu powiem, żeby sobie pojechał precz, nie weźmie mi tego za złe, jak pozna powody... powiem mu: »Kuzynku, jesteś przyjemnym, masz dowcip, rozum... podobałeś się mojej żonie... mogłaby cię pokochać...«

H O R T E N S J A.

Jakto, WPanbyś mu powiedział?...

S T. Y V E S.

No i cóż... alboż między krewnymi potrzeba ukrywać prawdę... powiem mu więcej jeszcze; pójdę do mojego kuzynka do salonu... to niedługo potrwa.

H O R T E N S J A.

Jakto, WPan mię zostawiasz samą?

S T. Y V E S.

Otóż i mój stryj p. de Merteuil, nie będziesz więc samą! *(odchodzi na lewo)*

SCENA XVI.

HORTENSJA, PAN DE. MERTEUIL.

MERTEUIL. (*wchodzi głębia, patrzy za panem St. Yves, który odchodząc mówi głosem urazonym.*)

Cóż to mężowi pani?

HORTENSJA.

Jeszcze do siebie przyjść nie mogę... i jak mogłam pomyśleć kiedy... Ah to ty mój stryju.. myślałam, że jesteś w salonie.

MERTEUIL.

Nie, po śniadaniu, przeszedłem się cokolwiek po ogrodzie. Ale cóż ci moja droga, postać twoja jest zbyt posępną na dzień wesela.

HORTENSJA.

Nie, to mała sprzeczka...

MERTEUIL.

Z mężem tak uległym... tak łagodnym...

HORTENSJA.

Nie mam przyczyny zalić się na niego... jednakże chciałabym mu dać poznać... że należałoby cokolwiek przyzwoiciej umieć postępować.

MERTEUIL.

Dobra to jest rzecz w małżeństwie być bez rozsądku... ale jednakże nie zastąpi wszystkiego szczęściem, można mieć nadzieję, że jego

słodycz... łagodność... *(słysząc w sali na boku jak St. Yves mówi głośno i z żywością: »Do krocset djabłów... zobaczymy, czy nie jestem panem przyjmowania osób, które mi się »podobają.»)* Zdaje mi się, że to on mówi.

H O R T E N S J A.

Ah mój Boże! kłóca się...

M E R T E U I L.

Kto taki?

H O R T E N S J A.

Mój mąż i pan Leon... Doniesiono mu fałszywie... on sądzi... Ah mój stryju! proszę cię... zobacz co to jest... uspokój ich, aby nie przyszło do smutnych skutków.

M E R T E U I L.

Idę... widzisz pani, jakiej pozbawiasz się korzyści... człowiek rozsądny w podobnym przypadku ukończyłby to bez najmniejszej wrzawy. *(wchodzi do salonu.)*

SCENA XVII.

HORTENSJA, potem JULJA.

H O R T E N S J A.

Nieba! cóżem uczyniła, jakaż mi pozostaje nadzieja?... czas... starania... cierpliwość, zmieniłyby inny charakter, ale on!... cóż mu powiedzieć?... nie zrozumie nawet... dziś nawet

i mimowolnie na jakie poniżenie mię wystawia!
Ah Juljo!... to ty...

J U L J A.

Tak pani, to ja, i jeszcze wzruszona cała! biedny młodzieniec!... mówiąc do mnie, łzami miał napełnione oczy... zdawało się, że opuszczając te miejsca, rozstawał się z tem wszystkiem, co miał najdroższego w świecie.

H O R T E N S J A.

O kim mówisz?...

J U L J A.

O panu Leonie... Wiedziałam go gdy wychodził z salonu... napisał na prędcie te kilka słów ołówkiem, i prosił mię, abym ci pani oddała.

H O R T E N S J A.

Mnie?... cóż on może mi powiedzieć?

J U L J A.

Zapewne to nie jest wielka tajemnica, gdyż bilet otwarty.

HORTENSJA. *(czytając)*

»Nie mogę ci pani być posłusznym, przymu-
»szono mię opuścić cię... Właśnie miałem z mo-
»im kuzynem małą rozprawę, która byłaby da-
»lej zaszła... gdybym nie pamiętał na to, że jest
»twoim mężem... Jeden mi tylko pozostał spo-
»sób udowodnienia mojej miłości, poświęcić u-

»czucia moje obawie skompromitowania się, i
»nie wahałem się wcale, zegniam cię pani na
»zawsze!» (n. s.) Biedny Leon!

J U L J A.

On wyjeżdża, ale to najprzykrzejsza, że ten
co zostaje, nie wart tego, który się oddała.

H O R T E N S J A.

Czy ci nic więcej nie powiedział?

J U L J A.

Nic pani, prosił mię tylko o jedną łaskę...

H O R T E N S J A.

O cóż?...

J U L J A.

O to... żeby mógł widzieć panią po raz ostatni...
dowiedzieć się co rozkażesz...

H O R T E N S J A.

Bardzo dobrze, żeś mu odmówiła.

J U L J A.

Nie zasługuję na tę pochwałę... On był tak
nieszczęśliwy, że nie mogłam mu odmówić...
i jest... tu... obok...

H O R T E N S J A.

Co słyszę! oddal go natychmiast... nie chcę się
z nim widzieć.

JULJA. (*wskazując Leona, który wszedł*)

Niech mu to pani sama powie... co do mnie,
nie miałabym tyle odwagi. (*wychodzi*)

SCENA XVIII.

HORTENSJA, LEON.
H O R T E N S J A.

Co widzę!... pan Leon!

L E O N.

Mów ciszej, błagam cię pani... mogliby nas usłyszeć... a pani nie chciałabyś...

H O R T E N S J A.

Pozwól mi pan oddalić się... po tém co się stało... wiesz pan dobrze, iż niepodobna mi teraz słuchać go.

L E O N.

Powinność nakazuje mi być ci posłusznym, ale oddalając się od ciebie pani na zawsze, czyliż nie uniosę z sobą najmniejszej nadziei, że cię kiedyś znowu widzieć będę.

H O R T E N S J A.

Ah, gdyby go mój mąż zobaczył...

L E O N.

Jednego tylko błagam wyrazu, możeszli on obrażać twoją sławę?...

H O R T E N S J A.

Sądzę, że mogę zausać twojej przyjaźni.

L E O N.

Ja twoim przyjacielem pani! nie, nie mogę nim być... poznaj smutną moją tajemnicę, kocham cię, uwielbiam.

HORTENSJA. (*kładąc mu palec na ustach*)

Ah, gdyby to mój mąż usłyszał! powtarzam ci panie, że teraz nie mogę cię już widzieć...

LEON.

Wiem o tém pani... ale w innych towarzysz-
twach... pozwolisz mi przynajmniej ukazać się
przed tobą.

HORTENSJA.

Nie, nigdy... i owszem, proszę cię... jeżeli mam
jaką władzę nad tobą... unikaj mojego spot-
kania.

LEON.

Co słyszę... podobny rozkaz... czy wiesz pa-
ni jakie myśli nasunąć mi może? Mógłbym pra-
wie sądzić, że się mnie obawiasz... jest to wy-
jawić, że mogę mieć niejaki wpływ na twoją
spokojność.

HORTENSJA.

Nie mogę, i nie powinnam panu odpowie-
dzieć... ale uważam cię pani za człowieka ho-
nora, i godnego mojej ufności... Jakąkolwiek
myśl przywiązujesz pan do tych słów... i niech
cię widzę po raz ostatni.

LEON. (*rzucając się do jej nóg*)

Ah, nic nie wyrówna mojemu szczęściu! Hor-
tensjo! to wszystko czego pragnąłem!

H O R T E N S J A.

Na Boga, zaklinam cię co czynisz?...

SCENA XIX.

CIŻ I GERVAIS.

GERVAIS. (*przechodząc pokój, spostrzega Leona u nóg Hortensji*)

Co widzę! to śliczna nowinka dla mojego panna! (*biegnie w głąb*)

H O R T E N S J A.

To Gervais... widział nas.

L E O N.

Nie wcale.

H O R T E N S J A.

Doniesie mojemu mężowi.

L E O N.

Nie znajdzie go.

H O R T E N S J A.

To on, słysze go.

L E O N.

Jestem gotów na wszystko.

H O R T E N S J A.

Czy chcesz mojej zguby? nadchodzą.

SCENA XX.

CIŻ I JULJA.

J U L J A.

Boże! co widzę!

HORTENSJA. (*do Leona*)

Co za poniżenie!... w obec moich ludzi!

S T. Y V E S.

Nie obawiaj się, mam sposób ocalenia twojej sławy... Julisiu, widzisz najszczęśliwszego z ludzi. (*wskazując Hortensją*) To moja żona.

H O R T E N S J A.

Co! (*n. s.*) Ah, gdyby mój mąż to usłyszał!

S T. Y V E S.

Kuzyn Fortunat znikł!... i mnie wszelkich praw ustąpił.

H O R T E N S J A. (*n. s.*)

Boże, biedny człowiek, zmysły stracił. (*głośno*) Leonie! przyjdź do siebie... jakże możesz sądzić, aby ona temu dała wiarę...

S T. Y V E S.

Dla czegoż nie?... Mam nadzieję, że wkrótce ciebie samą o tem przekonam... Tak pani, ja to, po oddaleniu się mojego stryja, dowiedziawszy się, żeś mi odmówiła twoją rękę, znając twoje zamiary, poważylem się, przebrany przez dwa miesiące, starać się o pozyskanie twojej przychylności, ja to nazywam się Fortunat de St. Yves... pod tem nazwiskiem dzisiejszego rana zapewniłem sobie szczęście na wieki... przysiągłem uwielbiać cię do zgonu... Cóż, czy zaczynasz teraz wierzyć, że moje zmysły powracają?

H O R T E N S J A.

O nieba! cóż mam myśleć? (*patrząc na St. Yves*) To szczęście jaśniejące we wszystkich jego rysach. (*patrząc na Julję*) Te spojrzenia porozumiewające się... co to znaczy? czy uczyniono sobie igraszkę z moich cierpień? Ah, to byłoby zbyt okrutnie... powiedźcie... to wszystko, czego się dowiedziałam...

SCENA XXI.

CIŻ I P. DE MERTEUIL

MERTEUIL. (*wchodząc podczas ostatnich słów Hortensji*)

Jest prawdą... ja to potwierdzam.

H O R T E N S J A.

Ah, jakżem szczęśliwą! Więc drugi twój synowiec... pan de St. Yves...

S T. Y V E S.

Nie widział cię nigdy... szczęściem dla mnie.

H O R T E N S J A.

I dla mnie.

SCENA XXII.

CIŻ I GERVAIS.

G E R V A I S.

To dziwna... nie mogę nigdzie znaleźć pana, co się z nim u diabła stało? (*sposzrzegając p. de St. Yves*) Jako, pan jeszcze tu?

ST. YVES. (*całuje rękę Hortensji*)

Tak, mój kochany Gervais.

G E R V A I S.

Jakto, i pan śmiesz... i pani pozwalasz?

HORTENSJA. (*patrzac na niego*)

Jakto, czy on rolę miał przeznaczoną i dalej ją odegrywać...

S T. Y V E S.

Nie, on nic o tem nie wiedział...

G E R V A I S.

Co to ma znaczyć?

J U L J A.

To ma znaczyć, że to jest nasz pan, tak jest, pan Fortunat i Leon, są tylko jedną osobą...

G E R V A I S. (*przygladując mu się*)

Czy podobna... ale tak, im się więcej wpatruję... oho, już po mnie... jużem wypędzony.

H O R T E N S J A.

Nie... przebaczam ci... jeżeli tak chcesz mój przyjacielu.

S T. Y V E S.

Jeżeli ty tak żądasz, niech zostanie, aby mu dowieść, że jesteś zawsze głową domu.

H O R T E N S J A.

O nie, już nie chcę rozkazywać; przekonałam się bowiem, że dobry mąż zezwoli na wszystko prawie, gdy żona prosi, a odmówi, kiedy rozkazuje.

K O N I E C.

S Y N
NARZĘCZONA

KOMEDJA

W JEDNYM AKCIE

z francuzkiego

PP. Darin i Deßbergers.

↓
TEUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA NOWYM

TEATRZE ROZMAITOŚCI

dnia 16 Listopada 1835 r.

O S O B Y.

- KAPITAN BELCOUR JP. *Jasiński.*
NAUDIN, były nauczyciel JP. *Baraniecki.*
FREJTAG, przyrzeczony Nancy JP. *Gizewski.*
HENRYKA, młoda sierota JPa. *Daszkiewicz.*
NANCY, synowica pana Naudin JPa. *Dobrzańska.*

(Rzecz dzieje się w Lauterburg, w domu pana Naudin, w roku 1815.)

S Y N

NARZĘCZONA.

(Scena przedstawia pokój skromny. Drzwi w głębi wychodzące na ogród; drzwi po lewej i kominek, nad którym zwierciadło. Po prawej okno mające widok na ogród; z téjże strony stół i wszystko co potrzebne do pisania. Krzesła i t. p.)

SCENA I.

NANCY, później FREJTAG.

(Za podniesieniem zasłony Nancy stoi przed zwierciadłem, zajęta ubraniem głowy)

NANCY.

Ah mój Boże! jak też moje włosy dziś mi nie do twarzy!

FREJTAG. (wchodząc)

Aha! przydybałem cię panno Nancy.

Tom IV.

14

N A N C Y.

Ah, to pan!

F R E J T A G.

Zawsze przy zwierciadle!

N A N C Y.

Ale ho dziś oczekujemy gości... nieznajomych.

F R E J T A G.

Młodzików zapewne?

N A N C Y.

Otóż natychmiast zwyczajna piosneczka... więc nie dowiesz się, aby cię nauczyć.

F R E I T A A.

Kochana Nancy, aby cię kochać, trzeba mojej cierpliwości, ty jesteś płocha, twój stryj obdarzony ociężałością prawdziwie teatońską; człowiek, który nigdy nie przedsięwziąć stale nie umie. Ile tylko razy mówię mu o naszym małżeństwie, a od sześciu miesięcy mówię mu codzień!... czy wiesz jaką odbieram odpowiedź...

N A N C Y.

Zapewne zwykłą, na wszystkie okoliczności... Zobaczymy to, zobaczymy to!...

F R E J T A G.

A ponieważ on nigdy nic nie widzi, to może trwać bardzo długo...

N A N C Y.

Cóż chcesz, to jest jego sposób myślenia.

F R E J T A G.

Ale przecież sposób myślenia, można odmienić!... Nie byłoby nic przykrzejszego na świecie, gdyby go zmienić nie można. Ja na przykład mój zupełnie porzucę...

N A N C Y.

Tęm lepiej, zyskasz na tem bo, jesteś zazdrosny, niewierny, klótnik... Pamiętasz, żeś przed kilku dniami chciał się poróżnić z młodym człowiekiem, który tylko patrzył na mnie.

F R E J T A G.

Tak! wściekam się!...jestem zły... są chwile, że chciałbym zabijać wszystkich, żeby się na ciebie nie patrzyli.

N A N C Y.

Cicho... mój stryj!

SCENA II.

CIŻ I NAUDIN.

NAUDIN. (*wchodzi zamyślony*) :

Im więcej myślę nad tem co się wydarza, tem mniej wiem czego się chwycić...

F R E J T A G.

Panie Naudin, dzień dobry!

N A U D I N.

Ah! co ty tu porabiasz?

F R E J T A G.

Zawsze jedno... my tu... przyszedłem zapytać pana...

N A U D I N.

Dobrze, później o tem pomówiemy...

F R E J T A G.

Nie panie Naudin, nie chcę już czekać, ojciec mój jest bogaty, i wposagu daje mi browar jeden z najznacniejszych w kraju; więc nic nie przeszkadza zdecydować się...

N A U D I N.

Zobaczemy to, zobaczemy później.

F R E J T A G.

Ale dla czegoż nie zaraz? Zdaje mi się, że pan mię znasz dosyć długo; byłem przecie pańskim uczniem, kiedyś trzymał szkołę; to ty szanowny człowieku kształciłeś mój umysł i serce.

N A U D I N.

To prawda; powiem ci teraz, żeś był mocny w łacinie... Widzisz, że nauka jest zawsze pożyteczną, jak będziesz piwowarem, odczytuj często Cyncerona, Wirgilego...'

F R E J T A G.

Na cóż mi się to przyda?...

N A U D I N.

Na co?... to cię nauczy sposobu, aby lepiej musowało.

F R E J T A G.

A więc panie Naudin, ponieważ tak myślisz o mnie...

N A U D I N.

Bez wątpienia, bardzo cię szacuję, ale dziś niepodobna mi... jestem tak zatrudniony...

F R E J T A G.

Wszakże ja tylko żądam jednego słowa... Tak, lub nie?...

N A U D I N.

No kiedy tylko to... to zobaczymy...

F R E J T A G.

Ale ja nie mam czasu czekać...

N A U D I N.

A ja nie mam czasu odpowiadać, daj mi pokój.

F R E J T A G

Panie Naudin, tak żyć nie mogę... mnie trzeba koniecznie odpowiedzi...

N A U D I N.

Frejtag, mój przyjacielu, możesz mi uczynić wielką przysługę...

F R E J T A G. (z żywością)

Oh, z całego serca... jaką?...

N A U D I N.

Uczyni mi tę przyjemność i idź precz.

F R E J T A G. (w rozpacz)

Tej przyjemności nie uczynię... nie pójdę.

N A U D I N.

Ah, ty śmiesz mi się opierać?

N A N C Y.

Uspokój się mój stryju, on sam nie wie co mówi.

N A U D I N.

Pójdiesz? tak, lub nie? odpowiedz.

F R E J T A G.

Ja nie mam czasu odpowiedzieć.

N A N C Y. (*do Frejtag*)

Nie gniewaj go... Oddał się, proszę cię.

F R E J T A G.

Boże! jakżem nieszczęśliwy!

N A U D I N.

Nie! odchodzi.

F R E J T A G.

Idę, ale powrócę, uprzedzam, chcę wiedzieć
czego się mam trzymać, i to jeszcze dziś.

N A U D I N.

Idź precz! albo...

F R E J T A G.

Cierpliwości! wkrótce mię pan znowu zobaczysz... (*wychodzi*)

SCENA III.

NAUDIN. NANCY.

N A N C Y.

Przecież poszedł.

N A U D I N.

Małe nic dobrego, rozgniewać mię, w takim
dniu jak dzisiejszy, kiedy potrzebuję całej zi-
mnej krwi, całego mojego rozumu. Nancy...
zy przygotowany pokój dla pana kapitana?

N A N C Y.

W pawilonie ogrodowym, tam zaprowadziłam jego służącego.

N A U D I N.

A tej Henryki nie widac.

N A N C Y.

Bo też nie bardzo blisko ztąd do Strazburga, gdzie jest na pensji.

N A U D I N.

Cóż ztąd? Wczoraj, jak tylko odebrałem list kapitana, posłałem powóz i dzielne konie, powinna była już tu być.

N A N C Y.

Przecież kapitan dziś nie przyjedzie... czego się więc obawiasz stryju?

N A U D I N.

Być może... w tym liście we względzie przyjazdu, nie ma nic stanowczego, a gdyby też przypadkiem pierwój przyjechał...

N A N C Y.

Ah mój Boże!... wielkie nieszczęście!... na miejscu stryja, zarazbym mu powiedziała prawdę!

N A U D I N.

Prawdę! zobaczymy to, zobaczymy... Ale, ba, ty nie znasz tak wszystkich okoliczności, byłaś jeszcze bardzo młoda... Będzie temu lat dziesięć... wtenczas trzymałem pensjonat, nad drzwiami mojego mieszkania był napis: „Nau-

din, nauczyciel, wykłada język łaciński, grecki, uczy pisać, czytać, rysować i t. d.« Pewnego dnia, to jest pewnej nocy, bo wtenczas była 11 godzina wieczorem, będę to pamiętał całe życie, słyszę pukanie... myślałem, że to jakiś żołnierz raniony, gdyż to było dniem po bitwie... otwieram drzwi, wchodzi kwatermistrz regimentowy, młody, może lat ośmnaście, nie więcej mający.

N A N C Y.

I to był kapitan Belcour...

N A U D I N.

Ja ci nie mówię o kapitanie, ale o kwatermistrzu regimentowym... trzymał za rękę małego chłopca pięcioletniego. Mości panie, pan utrzymujesz pensją, polecam ci tego malca... i dwadzieścia pięć luidorów, na teraz cały mój majątek; co rok przysyłać będę na jego utrzymanie. Bądź W Pan zdrow... mój pułk wychodzi... zegniam...

N A N C Y.

I oddalił się?...

N A U D I N.

Jak strzała... nie pozwolił mi nawet namyśleć się... wziąłem tedy dwadzieścia pięć luidorów i dziecię.

N A N C Y.

Słyszę turkot powozu...

N A N D I N.

To ona! to Henryka! przynajmniej tak się spodziewam.

NANCY. *(która pobiegła do okna)*

Tak mój stryju... nie omyliłeś się...

N A U D I N.

Ah, oddycham... uprzedziła go.

SCENA IV.

CIŻ I HENRYKA.

H E N R Y K A.

Witam cię kochany panie Naudin; pozwól się uściskać dobra Nancy; jak ona wyladniała od roku!

N A U D I N.

No, no, zostawmy to na później, trzeba się zająć ważniejszymi rzeczami.

H E N R Y K A.

W istocie, musiało zajść coś nadzwyczajnego; albowiem posyłaś pan po mnie na pensja, każesz mi tu przyjechać, nie uprzedziwszy mnie dla czego.

N A U D I N.

Ale, czy miałem czas po temu?

H E N R Y K A.

Nabawiłeś mię niespokojności.

N A N C Y.

Oh, nie ma niebezpieczeństwa.

N A U D I N.

Nie, w istocie, ale rzecz jest ambarassująca, idzie tu o przybycie kapitana Belcour...

H E N R Y K A.

Któż jest ten kapitan?

N A U D I N.

Oh to prawda! on był tylko kwatermistrzem regimentowym, ten młody żołnierz, co cię powierzył moim staraniom, i od którego nie mieliśmy przez kilka lat żadnej wiadomości, żyje, i wkrótce...

H E N R Y K A.

Czy podobna! A więc nie omyliłam się, jego to widziałam dziś rano.

N A N C Y.

Dziś rano?

H E N R Y K A.

O kilka mil ztąd, kiedy mój powóz mijał go, koń się uniósł, jeździec upadł, ale powstaje natychmiast i widząc mój przestrah, daje mi znak zapewniający ręką: to był on, ale nie byłam pewną, wąpiłam; już od tak dawna...

N A U D I N.

Jako? poznałaś go?

H E N R Y K A.

Mogłażem go zapomnieć... byłabym utraciła życie, on mi je ocalił... ah, takie wspomnienia

trwają wiecznie, a co ujmuje mi nieco zasługi, to to, że się wcale prawie nie odmienił. I pan mówisz, że jest kapitanem, pisał więc?

N A U D I N.

Oto jego list: »Sztutgard, dziewiątego Czerwca 1815. Szanowny panie Naudin, powracam z niewoli, lecz przymuszony jestem zatrzymać się czas niejaki w Sztutgardzie, chciałbym jak najprędzej być przy tobie i dowiedzieć się, co się stało z dziecięciem, które ci powierzyłem... Serce mi bije, gdy pomyślę o niem, on dziś jest całą moją nadzieją, i już przyzwyczailem się uważać go za mojego syna.«

H E N R Y K A.

Za syna?

N A U D I N.

Tak, moja Henryko, otóż właśnie to kłopot i jego błąd jest bardzo naturalny... kiedy cię do mnie przyprowadził, byłaś ubraną jak młody chłopczyk, prócz tego, nie mówiłaś jego językiem...

H E N R Y K A.

Trzeba go było wyprowadzić z błędu.

N A U D I N.

To niepodobna. Jużem go nie widział.

H E N R Y K A.

Nie miałeś od niego wiadomości.

N A U D I N.

Bezwątpienia, miałem, ale jemu łatwo, ja zawsze na miejscu, a on, prawie co dzień w innej stronie, niepodobna było pisać, chyba z takim adresem: »Panu Belcour, wojskowemu w Europie, poste restante.»

H E N R Y K A.

Teraz, gdy się dowie... to go może zasmuci.

N A U D I N.

Lękam się... to jest... żem w okropnym strachu... on co się spodziewa znaleźć chłopca... już układa plany, projekta... najlepszy dowód, że przez służącego, który mi doręczył list, przysłał ci przepyszny podarunek.

H E N R Y K A.

Cóż takiego?

N A U D I N.

Ubiór wojskowy... cóż on na to powie, jak usłyszysz, że ja musiałem oddać jego syna na pensję panien.

H E N R Y K A.

Trzeba mu to jednakże powiedzieć.

N A U D I N.

Przyznaję, i zdaje mi się, że ty powinnaś to wziąć na siebie, będąc obdarzoną wdziękiem i wrodzoną układnością...

HENRYKA.

Ja?... a gdyby mię też odepchnął od siebie...
Ah toby mię bardzo bolało... nie, nigdy się nie
ośmielę...

NAUDIN.

Prawda!... więc to synowica moja dopełni...
ona także jest dosyć przebiegła.

NANCY.

Ale mój stryju! tobie była powierzona Hen-
ryka nie mnie... a więc ty powinienes powiedzieć
pierwszy kapitanowi...

NAUDIN.

Eh ty nie rozumiesz...

HENRYKA.

I owszem, mnie się zdaje, żeby to dobrze by-
ło!....

NAUDIN.

Jakto myślisz Henryko... że ja...

NANCY.

Ale tak jest...

NAUDIN.

Zobaczemy to, zobaczemy to.

BELCOUR. (*za sceną*)

To dobrze... dobrze!... ja go znajdę...

HENRYKA.

Czy słyszysz?

NAUDIN.

Ah mój Boże! to on!

HENRYKA.

Pójdź Nancy!... zostawmy go z panem Nau-
din... (*uciekają do gabinetu po lewej*.)

Tom IV.

SCENA V.

NAUDIN, później BELCOUR.

NAUDIN.

Stało się... no proszę, nie miałem nawet czasu namyśleć się... ci wojskowi bywają czasami tak gniewliwi, tak się unoszą... ha, zobaczymy to, zobaczymy!

BELCOUR. (*wchodząc*)

Ah witam, witam cię ojcze.

NAUDIN. (*ściska go*)

Ah kapitanie, jakże się cieszę!

BELCOUR.

Byłem pewny, że cię poznam od razu... taka twarz... a potem ta postać godnego człowieka...

NAUDIN.

Ah panie kapitanie...

BELCOUR.

A mój syn, gdzież jest? myślałem, że go tu zastanę...

NAUDIN. (*n. s.*)

Otóż mamy!... (*głośno*) Chwilkę, kapitanie, zaledwie przyjechałeś...

BELCOUR.

Właśnie po to przybyłem, aby go widzieć, uściskać... to najpilniejsze...

NAUDIN.

Ale możebyś się posilił...

BELCOUR.

Nie wcale... zatrzymałem się w pobliskiej win-

sce... wyobraź sobie, koń zrucił mię na ziemię...
nic dziwnego, kto przez cztery lata był jencem...
odzwyczai się...

N A U D I N.

Ale pan nie jesteś raniony?

B E L C O U R.

Bynajmniej... w chwili kiedyś upadł, sliczne
małe dziewczę, przejeżdżało w powozie; krzy-
knęła... zdała się być bardzo wzruszoną, wy-
jrzała nawet z powozu... dosiadłszy mojego bie-
guna, chciałem puścić się galopem... ale boleść
przymuszała mię zwolnić bieg, musiałem się na-
wet zatrzymać w pobliskiej wiosce, to przyjem-
nie... ale cóż było czynić... zapomnę o tem i tyl-
ko mój koń popamięta długo... ale mój syn coś
nieprzychodzi.

N A U D I N.

Ah, to się bardzo szczęśliwie skończyło...

B E L C O U R.

Tak, tak... ale idź po niego panie Naudin,
idź go poszukaj.

N A U D I N.

Kogo?

B E L C O U R.

Mojego syna!... mojego... ale jakże się nazy-
wa... bo nie wiem jego imienia...

N A U D I N.

Henryk!... piękne imię prawda?

BELCOUR.

Tak Henryk!...ładne!... ale za łagodne, wo-
lałbym... ale to wszystko jedno, idźże mi przy-
wołaj Henryka.

NAUDIN.

Pojmuję twoją niecierpliwość kapitanie... jest
bardzo naturalna, kiedy się komu ocaliło życie...
nie wiem w prawdzie jakim sposobem... a on
był tak młody, że nie mógł sobie przypomnieć
wszystkich okoliczności.

BELCOUR

Po bitwie, nieprzyjaciel cofając się podpalił
jakiś wiejski pałacyk... przechodząc wedle nie-
go słyszę jęki, zsiadam z konia i mimo otacza-
jącego mnie ognia wchodzę do pokoju już na-
pełnionego dymem. Tam postrzegam na podło-
dze leżącą młodą osobę, dosyć bogato ubraną,
blizką zgonu! przy niej dziecię, które także by-
łoby się wkrótce stało pastwą płomieni, to był
Henryk, porywam go, siadam z nim na konia, ale
nie wiedziałem co począć z tym malcem, w bo-
ju, lada chwilę mogłem go utracić, a za nic
w świecie nie byłbym go opuścił... szczęściem
zostałem odkomenderowany do odprowadzenia
jeńców... przejeżdżając przez Lauterburg, spo-

strzegłem napis nad twojém mieszkaniem, Naudin, nauczyciel...

NAUDIN.

Wyklada język łaciński, niemiecki, grecki, uczy pisać, czytać, rysować...

BELCOUR.

I tam dalej, wiesz resztę!

NAUDIN.

Ah to rozkliwia, to wzrusza!

BELCOUR.

No, teraz kiedyś wzruszony, poszukaj Henryka!

NAUDIN. *(n. s.)*

On nie ustąpi swego.

BELCOUR.

No i cóż jeszcze stoisz?

NAUDIN.

Kapitanie, proszę cię... racz mię posłuchać, bo widzę, że trzeba ci nakoniec powiedzieć, bo w samej rzeczy dłużej niepodobna zachować tajemnicy...

BELCOUR.

Co to znaczy?... zkad to pomieszanie... mów co za tajemnica!... Milczysz... może... może... odpowiedź przecię?

NAUDIN. *(drżący)*

Uspokój się kapitanie... owszem, zdrów... w czterstwém zdrowiu się znajduje.

BELCOUR.

Dzięki Bogu, a więc czemuż go nie widzę?

N A U D I N

Naprzód, nie sądziliśmy, żebyś pan tak prędko przybył...

B E L C O U R.

A jeżeli jest nieobecny, to co innego...

N A U D I N.

To jest... on jest nieobecny, tylko ona...

B E L C O U R.

Co ona... jakto?!...

N A U D I N.

Kiedy mówię ona... to się znaczy!..., on bo to pewne delikatne zlecenie...

B E L C O U R.

Rozumiem, pewno jaki pojedynek o dziewczynę?... oh to dobrze, to mię cieszy...

N A U D I N.

Nie... wcale...

B E L C O U R.

Może grał, lub zadłużył się?

N A U D I N.

Nie, nie...

B E L C O U R.

Pewno się zakochał, ale to dzieciństwo, nie chcę o niczem wiedzieć, tylko uściskać mojego syna...

NAUDIN. (*n. s.*)

Ten zawsze syna, z kąd mu go tu wiaść...

B E L C O U R.

On zapomni o wszystkiem w pułku.

N A U D I N.

W pułku... (*n. s.*) No, otóż mamy.

BELCOUR.

Czy cieszył się mundurem, który mu przysłałem.

NAUDIN.

Wszystko, co od pana pochodzi...

BELCOUR.

To dobrze, bo on musi być żołnierzem tak jak ja! to już postanowione!... nie jestem bogaty... to co sam umiem, nauczę i jego... nie mogę więcej dać nie mogę.

NAUDIN. (*n. s.*)

Buduj zamki na lodzie.

BELCOUR.

Polecilem ci, abyś mi go wychował do stanu wojskowego, i mam nadzieję, że napełniony uczuciami męzkimi.

NAUDIN.

Uczuciami męzkimi... za pozwoleniem panie kapitanie... nauczyciel może tylko rozwinąć wrodzone zdolności, a kiedy tych nie ma.

BELCOUR.

Jakto! zbywa mu na odwadze?... może jest lęklwym!... oh, to musi być inaczej, przykład wszystko zdziałać może, ten rozdział do mnie należy, gdyż od tej chwili dla niego cały się poświęcę, nie opuszczę go nigdy... będzie przy mnie dzień i noc...

NAUDIN. (*n. s.*)

To się wszystko wyda. (*głośno.*) Tak to się

mówi. Ale w wieku kapitana, myśli łatwo się odmieniają, zabawy, miłostki...

B E L C O U R.

Miłostki!... już je pożegnałem...

N A U D I N.

Czy tak?

B E L C O U R.

Zupełnie...

NAUDIN. (*n. s.*)

Zobaczemy, zobaczemy.

BELCOUR. (*zbliżając się do okna*)

Któż to jest ta młoda osoba, co przechadza się po ogrodzie?

NAUDIN. (*idzie zagłąda, n. s.*)

To Henryka! co za nieroztropność!

B E L C O U R.

Piękna postać... nie myślę się... to ta sama, którą widziałem w powozie, która się tak przstraszyła moim przypadkiem... Powiedz mi, czy znasz ją, to przyjaciółka, krewna... Na honor, bardzo ładna.

NAUDIN. (*zakłopotany*)

Tak... tak kapitanie, jest to rodzaj krewniactwa...

B E L C O U R.

Tém lepiej, dziękuję za łaskawe zajęcie się... tak powinnośc każe... i gdybyś ją chciał o tém uprzedzić...

NAUDIN.

Do kata! ja chcę i bardzo... (n. s.) Ah, to się straszliwym sposobem łączy wszystko.

BELCOUR.

Ale nie zapominaj o Henryku, przyszlj mi go natychmiast.

NAUDIN.

Idę, biegnę... tracę głowę, ale zobaczymy, zobaczymy... (odchodzi w głąb)

SCENA VI.

BELCOUR. (sam)

Cóż to się stało ojcu Naudin, to pomieszanie pojąć nie mogę. Czyby mój Henryk dopuścił się usterków nieco mocnych? Oh nie, to niepodobna. Przyjdzie tu, zobaczę go, ileż razy pragnąłem tej chwili; jeszcze go nie widać. (idzie do okna) W ogrodzie nie ma nikogo, nawet tej młodej dziewczyny, która niedawno przechadzała się, szkoda... byłbym cierpliwiej czekał. (ciągle patrzy w okno)

SCENA VII.

BELCOUR, NAUDIN, HENRYKA. (w ubiorze wojskowym)

NAUDIN. (do Henryki)

Ale po cóż ja mam zostać przy tobie?

HENRYKA.

Nie śmiałabym, sama...

N A U D I N.

Nie ma niebezpieczeństwa w tym ubiorze; dobra myśl... chociaż jej nie rozumiem, ale zobaczymy...

H E N R Y K A.

Przedstaw mię tylko, potem miie pozwól działać, mam już myśl...

N A U D I N.

Kapitanie.

BELCOUR. (*obracając się*)

Cóż tam?

NAUDIN. (*wskazując Henrykę*)

Oto jest.

B E L C O U R.

Henryk! mój syn! cóż! nie uściskaszże mię?

HENRYKA. (*biegnąc w objęcie*)

Oh! (*zatrzymuje się*)

B E L C O U R.

Cóż to przestraszasz się? No pójdź, pójdź! (*ściska ją*)

NAUDIN. (*n. s.*)

Zadusi ją.

B E L C O U R.

Widzę cię nakoniec w tym ubiorze!

N A U D I N.

Nie chciałem nic mówić; to właśnie zatrzymało tak długo.

B E L C O U R.

Kochany Henryk! Co to za rozkosz mieć syna!

N A U D I N.

Zostawiam was. (*n. s.*) Teraz niech się dzieje co chce... zobaczymy co się stanie. (*wychodzi*)

SCENA VIII.

BELCOUR, HENRYKA.

B E L C O U R

Odchodzi. Tém lepiej, będziemy sami, będziemy wolniejsi, więc teraz powiedz mi szczerze, czy kontent jesteś, że mię widzisz znowu? czy cieszysz się z mojego powrotu?

H E N R Y K A.

Ah, tak panie!

B E L C O U R.

Panie?... Jeżeli tak zaczynasz?...

H E N R Y K A.

A więc tak jest, kapitanie.

B E L C O U R.

Kapitanie! to już lepiej; ale jeszcze nie dosyć... jestem twoim przyjacielem, twoim najlepszym przyjacielem!...

HENRYKA. (*po chwili*)

Tak mój przyjacielu!

B E L C O U R.

A to co innego! Podaj mi rękę chłopcze. Teraz usiądź przy mnie, pomówimy o interesach.

H E N R Y K A.

Przebacz.

B E L C O U R.

No, no, zbliż się, prędkiej.

HENRYKA. (*n. s.*)

Trzeba mu być posłusznym. (*siada ójajliwie obok Belcoura*)

BELCOUR.

No, cóż ci to? nie zdajesz się być... czy cię zatrważam? czy nie kochasz mię?

HENRYKA.

Ja, możesz powątpiewać o mojej wdzięczności, o mojej przyjaźni... lękam się tylko: czyli zasłużę na twoją, a przynajmniej czy długo nią cieszyć się będę!

BELCOUR.

Nie, moje serce dla ciebie nigdy się nie odmienię, kochać cię będę zawsze. (*ściska ją*)

HENRYKA.

Zobaczemy to później... a gdybyś się przypadkiem ożenił?

BELCOUR. -

Ożenić się, ja!... gdybym ciebie nie miał, to byćby mogło!... byłbym się ożenił! aby mieć syna!... zawszem pragnął mieć syna!...

HENRYKA.

A więc córki nie kochałbyś?...

BELCOUR.

A niech mię Bóg zachowa, dziewczyna, to nie dla mnie, to spokojne, ciche, zawsze tylko siedzi; myśleć o wydaniu jej za mąż... nie

licząc innych kłopotów, żeby ustrzedz od podobnych nam... gdy tymczasem syn jest przyjacielem, towarzyszem... stało się, nie chcę zony, miłości, małżeństwa, daję ci na to moje słowo.

HENRYKA. (*żywo*)

Oh, nie przysięgaj!

BELCOUR.

Dla czego?... dla ciebie mogę uczynić tę ofiarę, jesteś tak przyjemny, ładny nawet, i im więcej ci się przypatruję... szczególnie... jak jesteś podobny do pewnej osoby...

HENRYKA. (*wstając*)

Do kogo?

BELCOUR. (*także wstając*)

Do kobiety... młodej dziewczyny, którą przed chwilą jeszcze widziałem w ogrodzie.

HENRYKA.

Czy podobna... znajdujesz we mnie coś familijnego...

BELCOUR.

Jakto? co chcesz mówić?

HENRYKA

To moja kuzynka.

BELCOUR.

Twoja kuzynka?... a ojciec Naudin nie mi nie wspominał... a więc znalazłeś twoją familją!...

H E N R Y K A.

Ona jest jedyną moją krewną... Sierota, również jak ja, matka jej przed śmiercią oddała ją na pensję do Strazburga...

B E L C O U R.

Właśnie też na drodze ze Strazburga ją spotkałem...

H E N R Y K A.

Dziś rano, mówiła mi...

B E L C O U R.

Mówiła ci...

H E N R Y K A.

Poznała cię natychmiast w oknie... pragnie nawet dowiedzieć się, czy przypadek twój nie miał złych skutków...

B E L C O U R.

Jako... była tak dobrą pytać o to... ładniuchna osoba, ta twoja kuzynka...

H E N R Y K A.

Wiem o tem.

B E L C O U R.

Aha! dostrzegłeś to?... powiedzno mi panie żołnierzu, czy tu przypadkiem nie ma miłości? byłaby to tajemnica, o której mi pan Naudin wspominał...

H E N R Y K A.

Oh nie, moja kuzynka jest tak rozsądna, tak dobrze wychowana... miała już bardzo piękne

partje, wszystkie odrzuciła.

BELCOUR.

Młódzież z prowincji... bez dowcipu może,
bez...

HENRYKA.

Jej tak trudno podobać się.

BELCOUR.

Czy tak?

HENRYKA.

Ja sam nawet, jam próbował... a nic nie zyskałem.

BELCOUR.

Piękny dowód, rekrut...

HENRYKA.

I ty zręczniejszy, doświadczeńszy, także nie
więcej dokażesz...

BELCOUR.

Tak sądzisz... do stu piorunów, gdybym chciał...

HENRYKA.

Nie radzę ci...

BELCOUR.

I słusznie, ponieważ znam siebie... z kobietami...
trudno się oprzeć... pozwalam im powodować
sobą... one mają moc!... szczególnie ja, od
samego rana myślę o niej, a to już nie fraszka...
to niebezpiecznie... ale dotrzymam moich przyrzeczeń...
a najlepszy sposób do tego... wyjdziemy natychmiast.

H E N R Y K A.

Wyjechać natychmiast?

B E L C O U R.

Czemuzby nie? tu nie mamy nic do czynienia!... trzeba się udać do Paryża... tam ukończysz nauki... dla tego za godzinę będziemy w drodze.

HENRYRA. (*n. s.*)

Ah mój Boże, nie tego pragnęłam! (*głośno*)
Kapitanie!

BELCOUR. (*odchodząc*)

Daj mi pokój!... już postanowione!

H E N R Y K A.

Mój przyjacielu!

BELCOUR. (*wracając*)

I cóż... czego chcesz?

H E N R Y K A.

Ja nie mogę wyjechać?

B E L C O U R.

Dla czego?

H E N R Y K A.

Bo... bo jestem zakochany.

B E L C O U R.

W twojej kuzynie?

H E N R Y K A.

Nie, w innej...

B E L C O U R.

Jeszcze w innej... i ta... i druga... no, to nie ma

w tém nic złego... w drodze to wywietrzeje z głowy.

H E N R Y K A.

Nie, mylisz się...kocham ją do szaleństwa, w rozpacz mię wprowadza.

B E L C O U R.

Co za ogień, jaki zapal!... to dobrze mój chłopcze, a widzę, że nie ma czasu do stracenia... ho, pojedziemy nie za godzinę, ale za dziesięć minut.

HENRYKA. (*n. s.*)

Boże! jak go zatrzymać! (*głośno*) Kapitanie, ponieważ ci wszystko muszę powiedzieć, ponieważ muszę wyznać błąd, który spodziewałem się ukryć przed tobą.... dowiedz się, że już mi nie wolno opuścić tej, którą kocham.

B E L C O U R.

Ah, ty żartujesz?

H E N R Y K A.

Razem wychowani... młodzi...

B E L C O U R.

Bez doświadczenia... Ha! rozumiem... ah to lotrzyk... ktoby się domyślił... cóż to za dziewczyna, wieśniaczka, córka ogrodnika...

H E N R Y K A.

Synowica pana Naudin.

B E L C O U R.

Twojego nauczyciela... aha, więc to jest...

No, zobaczymy, a jeżeli nie będzie można inaczej uczynić... nakoniec pomówię z p. Naudin.

H E N R Y K A.

Oh, jakżem szczęśliwy! jakże się cieszę!

B E L C O U R.

Jest z czego! możesz sobie pochlębiać... niech będzie przeklęty los przeciwny, chciałem z niego zrobić żołnierza, a tu męża z niego zrobiono... I ja miałem myśl zaciągnąć cię, ale przysięgam, że wcale nie do tego pułku.

SCENA IX.

CIŻ I NANCY.

NANCY. (*przybiegając*).

Panie kapitanie, jeżeli chcesz spocząć, pokój już przygotowany.

H E N R Y K A.

Kochana Nancy, w sam czas przychodzisz... nie wiesz... wszystko mu powiedziałem, zwierzyłem mu naszą miłość i wkrótce znikną przeszkody do naszego szczęścia. (*cicho*) Udawaj, że mię rozumiesz.

B E L C O U R.

Ah zdaje się, że to ta...

N A N C Y.

Jakto, powiedziałeś panu!...

H E N R Y K A.

Ty będziesz moją żoną... będziemy najszczęśliwsi.

N A N C Y.

Będziemy razem szczęśliwi...

B E L C O U R.

Biedny chłopiec, zgubiony.

H E N R Y K A.

Mogę głośno powiedzieć, że cię kocham, że cię uwielbiam, mogę cię uściskać przed całym światem. I na początek... (*ściska Nancy*)

B E L C O U R.

Dobrze, to już nie jak rekrut... widać, że się w tem wyexercytował.

SCENA X.

CIŻ I FREJTAG.

FREJTAG. (*wchodząc*)

Boże! co widzę?

NANCY. (*n. s.*)

Frejtag!... będzie się gniewał...

B E L C O U R.

A ten zkąd się tu wziął?

FREJTAG. (*do Nancy*)

Jak się zdaje, nie spodziewałaś się mię tak prędko, a teraz widzę, dla czego mię rano oddaliłaś.

BELCOUR. (*n. s.*)

To coś wygląda na rywala.

FREJTAG.

Ale ostrzegam cię, że to się na tym nie skończy.

BELCOUR. (*do Henryki*)

Dalejże, broń jej, nie pozwalaj znieważać...

FREJTAG.

Sądziłaś WPanna, że możesz mię zwodzić bezkarnie... zobaczemy.

BELCOUR.

Ale młodzieńcze, jesteś w błędzie...

FREJTAG.

Proszę pana o przebaczenie... ale pan jesteś obcym w tym interessie.

HENRYKA. (*cicho do Belcour*)

Nie mieszaj się, to do mnie należy.

NANCY. (*do Frejtag*)

Proszę pana, abyś mi dał pokój, jestem panią moich czynności.

FREJTAG.

Nie, mościa panno, nie masz prawa pozwalać się całować wojskowemu... żołnierzowi...

BELCOUR. (*cicho do Henryki*)

Odpowiedz mu śmiało: żołnierz więcej wart, aniżeli taki niedołęga jak WPan.

HENRYKA. (*do Frejtag*)

Żołnierz więcej wart, aniżeli taki niedołęga
jak WPan.

BELCOUR. (*cicho*)

Dobrze!

FREJTAG. (*postępując*)

Niedołęga! nie wiem co mię wstrzymuje.

N A N C Y.

Wstrzymaj się, albo nigdy mię już widzieć
nie będziesz.

F R E J T A G.

To mi wszystko jedno, nie pozwolę się od-
sadzić takiemu chłystkowi...

BELCOUR. (*cicho do Henryki*)

Daj mu policzek...

HENRYKA. (*cicho*)

Czy to dobrze będzie?

B E L C O U R.

Daj mu policzek, albo ja sam...

F R E J T A G.

Taki dzieciuch!...

H E N R Y K A.

Dzieciuch!... masz! (*daje mu policzek*)

B E L C O U R.

To, to... dobrze idzie...

F R E J T A G.

Policzek... drogo mi to zapłacisz...

HENRYKA. (*n. s.*)

Aż mię ręka boli.

BELCOUR.

Nie idźmy dalej. (*do Frejtag*) Na co się
WPan chcesz pojedynkować?...

FREJTAG.

Na szpady, pistolety, kije, pałasze... to mi
wszystko jedno... abym się tylko bił...

BELCOUR.

A więc na szpady, wieczorem o siódmej za
murem ogrodowym.

FREJTAG.

Będę tam i ukarzę zuchwałość tego młode-
go przybysza. (*wychodzi głębią*)

SCENA XI.

CIŻ I NAUDIN.

NAUDIN.

Cóż to za wrzawa!

BELCOUR.

Nic, to pojedynek!

NAUDIN.

Kto, z kim?

BELCOUR.

Mój Henryk...

NAUDIN.

Henryk?... myślałem, że pan wiesz...

HENRYKA. (*do Naudina*)

Milczenie: on nie wie jeszcze o niczem.

(*Henryka bierze Nancy za rękę i odchodzą
na lewo.*)

S C E N A XII.

BELCOUR, NAUDIN.

NAUDIN.

Jakto, kapitanie, ten mały Henryk...

BELCOUR.

Będzie się bił; otóż to są skutki twojej nieprzezorności, zaślepienia.

NAUDIN.

Zaślepienia... zdaje mi się...

BELCOUR.

Wiem wszystko, już nie czas zmyślać.

NAUDIN.

Czy tak? Ah cieszę się niewymownie.

BELCOUR.

Wstydzić się raczej powinienes, to jest nie do przebaczenia... zostawić razem dwoje młodych, dwoje dzieci bez rozumu, bez doświadczenia, i nic nie widzieć, nic nie domyśleć się, nie przeszkodzić, gdzie pan miałeś głowę?

NAUDIN.

Niech mię djabli porwą, ani słowa nie rozumiem.

BELCOUR.

To mię nie dziwi, jesteś tak mało przewidującym... wiedziałeś, że oni kochają się, a nie wiesz zapewne, dokąd ich ta miłość doprowadziła... nie powierzyli ci się... Ja, to co inne-

go, ja winienem ci wyznać prawdę, Henryk nie może i nie powinien opuścić twojej synowicy.

NAUDIN.

A to dla czego?

BELCOUR.

Nieszczęśliwy! nawet się nie domyślał.

NAUDIN. (*n. s.*)

Mówi z taką pewnością.

BELCOUR.

To mi wyznali oboje.

NAUDIN.

Oboje?

BELCOUR.

Dla twojej to synowicy Henryk bić się będzie.

NAUDIN. (*n. s.*)

Gubię się, nie wiem co myśleć. Czyby on przypadkiem był chłopcem... Ale nie, pamiętam dobrze...

BELCOUR

Możesz się dorozumieć panie Naudin, że postępowanie Henryka psuje wszystkie moje rachuby, jego przyszłość stracona, jednakże powinność przedewszystkiem. Dla tego więc stanów o jego losie: czy wymagasz koniecznie, aby on zaślubił twoją synowicę?

NAUDIN.

Zobaczemy to, zobaczemy.

B E L C O U R.

Czy żądasz małżeństwa?

N A U D I N.

Ale kapitanie, w tém wszystkiém jest jakiś błąd, im więcej się zastanawiam, tém więcej widzę niepodobieństwa... jakże on... bo nako-
niec jestem pewny...

B E L C O U R.

Nie idzie tu o to... chcesz czy nie?

N A U D I N.

A więc nie, nie chcę, czyń pan co ci się po-
doba!

B E L C O U R.

Dosyc — a więc uprzedzam cię, że wyjeżdza-
my dziś wieczorem po odbytym pojedynku, je-
żeli on będzie szczęśliwym dla Henryka. Nie py-
tam pana, czy dobrze bije się na spady, powi-
nien to umieć, jednakże sam z nim spróbuję...
a w każdym przypadku, będę się bił na jego
miejscu.

N A U D I N.

Na jego miejscu (*n. s.*) tam do kata...

B E L C O U R.

Polecam nie wspominać nic o tym jego ku-
zynce.

N A U D I N.

Jego kuzynce? jakiej kuzynce?

Tom IV.

17

BELCOUR.

Mogłaby się sprzeciwić... Co do naszego odjazdu, sam jej o tem doniosę, gdyż byłoby to niegrzecznością teraz z mojej strony, gdybym się z nią nie widział. (*odchodzi do okna*)

NAUDIN. (*n. s.*)

Co to u diabła za kuzynka, ha zobaczymy.

BELCOUR. (*wychodzi głębia*)

SCENA XIII.

NAUDIN. (*sam*)

To tak długo trwać nie może... wypadki przynaglają, pomnażają się, do tego stopnia, że nie wiem czego się mam chwycić... a jednakże wiem dobrze, że Henryk nie jest rodzaju męskiego, że w nim na teraz nie ma nic męczyzny prócz nazwiska... to jest dziewczyna!... przecież nieboszka pani Naudin zapewniała mię o tem, prawda, że to już temu lat dziesięć... ale to wszystko jedno, kiedy się było kobietą przez dziesięć lat, nie widzę sposobu, jakimby można zostać męczyzną... dla tego nie ma czasu zwlekać prawdy... pojedynek... trzeba wszystko wyjaśnić... (*chce odchodzić*) Myślę, że lepiej będzie napisać, a potem rozgniewa go ta wiadomość, więc wolę, żeby się pomścił na moim bilecie, jak na mnie.

piszmy!... »Panie kapitanie!» *(czyta co napisał)*
Panie, to zasucho *(pisząc)* »Panie i kochany kapitanie, człowiek tak, pan Bóg inac... mądry na wszystko gotów.« *(przerywając)* Początek zdami się bardzo szczęśliwy. *(pisze i mówi pisząc)*
»Kiedy w pośród płomieni i nocy, ocaliłeś istotę młodą i zajmującą, nie myślałeś o tém kto jest, ani czém kiedy będzie...jój ubiór w błąd cię wprowadził, myślałeś, że to chłopiec i wszyscy byliby tak zbłądzili, errare humanum est, co znaczy, że mały chłopiec był dziewczynką, i aby wyprowadzić z błędu i wyjaśnić całe qui pro quo, ona to sama oddaje ten list, z którym mam zaszczyt być Chryzostom Naudin, nauczyciel, wykłada język łaciński, grecki, uczy pisać, czytać i t. d. Wybornie, teraz idźmy poszukać Henryki i niech ten list odniesie. *(złożył list, zapieczętował, wstaje i odchodząc zatrzymuje się przy oknie)* Niech mi Bóg przebaczy, otóż ona żegna się z kapitanem... przywdziała suknie, no to już wszystko wiadome... mój list nie potrzebny... Boże kapitan...

SCENA XIV.

NAUDIN BELCOUR. (*niosąc florety, które kładzie na krzesle*)

BELCOUR.

No i cóż pan tu jeszcze, gdzież Henryk?!

NAUDIN.

Henryk? masz tobie!

BELCOUR.

Prosiłem cię, abys mi go przysłał.

NAUDIN.

To prawda... ale dopiero w ogrodzie...

BELCOUR.

Nie widziałem go, a jednak dosyć długo rozmawiałem z jego kuzynką.

NAUDIN. (*n. s.*)

To widzę rzeczy ani na krok nie postąpiły.

BELCOUR.

Prześliczna osoba... czas oddalić się ztąd, zrejterować... bo gdybym ją częściej widywał... jej tkliwość... piękność.

NAUDIN. (*n. s.*)

Ha zaczyna mi świtać w głowie... zobaczemy.

BELCOUR.

Ale powiedz Henrykowi, że go tu czekam.

NAUDIN.

Henrykowi! dobrze! (*n. s.*) bieżmy oddać mu list, aby go sam doręczył kapitanowi.

BELCOUR.

Spiesz pan, godzina pojedynku się zbliża.

NAUDIN. *(odchodzi)*

SCENA XV.

BELCOUR, HENRYKA. *(w ubiorze wojskowym)*

HENRYKA. *(wchodzi z lewej, gdy Naudin wychodzi głębia)*

Ah, to ty kapitanie, szukałem cię.

BELCEUR.

Ja właśnie posłałem po ciebie pana Naudin.

HENRYKA.

Nie znajdzię mię pewnie.

BELCOUR.

Mam ci donieść przyjemną nowinę, pan Naudin nie wymaga tego, abyś poślubił... i jak tylko pojedynek się ukończy pojedziemy.

HENRYKA.

Więc ci bardzo spiesznie odjechać!

BELCOUR.

Jak najspieszniej... naprzód dla ciebie, jesteś blisko twojej Nancy... trzeba pomiędzy wami przedziału... i z mojej strony niebardzo jestem spokojny... twoja kuzynka nazbyt przyjemna.

HENRYKA.

Czy tak?

BELCOUR.

Mówiłem z nią w tej chwili i podobieństwo z tobą, jeszcze więcej mię zadziwiło.

HENRYKA.

Nie prawda... to szczególna... cóż ci powiedziała.

BELCOUR.

Tysiące rzeczy, które z łatwością mógłbym tłumaczyć na moją korzyść... Ale nie, nie mówmy o tem... moje postanowienie niezmienne... tobą tylko zajmować się pragnę... pamiętajże okazać się walecznym (*bierze florety*) zobaczymy... przekonam się, jak bronić się potrafisz... (*podaje floret*)

HENRYKA. (*biorąc go*)

Ah Boże! jak tu wywikłać się z tego...!

BELCOUR.

No, en garde...

HENRYKA. (*n. s.*)

Widziałem to nie raz, probujmy. (*staje niezgrabnie w pozycji*)

BELCOUR. (*z poruszeniem szpady*)

Zasłoń się... zasłoń się...

HENRYKA. (*puszczając floret*)

Ah! to boli!...

BELCOUR.

Cóż ci to... czyś skaleczony...

HENRYKA.

Trochę w rękę.

BELCOUR. (*rzucając floret*)

Do stu katów... floret zepsuł się, nie zważałem, trzeba zatrzymać krew. (*bierze jej rękę do ust*) To nie... lekkie draśnięcie, obwiązawszy chustką. (*dobywa swoją chustkę i obwiązuje rękę*) Myślałem, że ci śmierć zadał, tak zbladłeś, zapewne nie masz odwagi... Ale bądź spokojny, ja ciebie zastąpię.

HENRYKA.

Nie, ja tego nie zniosę.

BELCOUR.

No dobrze... dobrze... już ja to ułożę w ten sposób, że honor nie na tęp cierpieć nie będzie.

SCENA XVI.

CIZ I NANCY. (*wbiegają z listem w rękę*)

NANCY. (*n. s.*)

Ah mój Boże! nie sama! (*zbliża się*) Cóż ci to Henryku, jesteś tak blady?

BELCOUR.

To prawda... możnaby myśleć, że zemdleje, oh, ten pan Naudin wychował go jak pannę.

NANCY.

Tyś raniony w rękę?

HENRYKA.

To nie.

BELCOUR.

Idź mój chłopcze do twego pokoju, nie wychodź z niego dopóki ci nie dam znać.

H E N R Y K A.

Nie, kapitanie, ja cię nie odstąpię.

B E L C O U R.

Proszę mi być posłusznym, to jest powinnością rekruta.

H E N R Y K A.

Idę. (*n. s.*) i przysłę tu na moje miejsce kuzynkę, ona nie jest rekrutem. (*chce odejść*)

N A N C Y. (*cicho, zatrzymując ją*)

Słuchaj: mój stryj przysłała ci bilet, abys go oddał kapitanowi.

H E N R Y K A. (*cicho*)

Nie mam czasu, oddaj go sama.

N A N C Y. (*cicho*)

Ale mi polecił... -

H E N R Y K A. (*cicho*)

Ty, albo ja, to wszystko jedno.

(*odchodzi na lewo.*)

SCENA XVII.

B E L C O U R, N A N C Y.

N A N C Y.

Panie Kapitanie!...

B E L C O U R.

Czego chcesz moje dziecię. Mów, słucham cię.

N A N C Y.

List do pana. (*oddaje mu*)

B E L C O U R.

List. (*bierze go*) Czyby to od kuzynki... (*otwiera i czyta cicho*)

NANCY. (*n. s.*)

Dziwny ten mój stryj, pisać do niego, kiedy-
by mógł mówić z nim.

BELCOUR. (*zadziwiony*)

Czegożem się dowiedział?

NANCY. (*zadziwiona*)

Aj, aj! co jemu jest?

BELCOUR. (*n. s.*)

Czy podobna... (*głośno czytając*) »co zna-
»czy, że mały chłopiec był dziewczynką. Ona
»to sama oddaje ten list.» (*patrzy na Nancy*)

N A N C Y.

Jak na mnie patrzy.

B E L C O U R.

Jakto! to panna, to panna jesteś... no mów-
że przecię, potrzeba, żebyś to sama powiedziała.

NANCY. (*zmieszana*)

Tak, tak kapitanie, to ja. (*n. s.*) nie wiem
co odpowiedzieć... nie uprzedzili mię...

B E L C O U R.

Nie ma wątpliwości... a ten przekłety Nau-
din, jak mię oszukał... pojmuję teraz jego wy-
biegi, podstępny. (*do Nancy*) Mościa panno, po-
pełniwszy błąd.. otóż to przyjemność mieć córki.

N A N C Y.

Popęłniwszy błąd...

B E L C O U R.

Dobrze uczynił, że milczał... gdyż w pierwszej chwili, byłbym go zabił, ale niemniej jesteś winną, mościa panno... kto jest ten młody człowiek, z kąd przybył, gdzieś go poznała?

N A N C Y.

Ten młody człowiek... ale kapitanie. (*n. s.*)
Teraz już nie wiem co powiedzieć.

B E L C O U R.

Na co udawać niewiadomość... pewny jestem, że pomimo tej układnej minki, WPanna wiesz już bardzo wiele.

N A N C Y.

Przeciwnie, to mnie zasmuca, że nic nie wiem.

B E L C O U R.

Zresztą mniejsza o to... złe już się stało... zaślubisz go, zostawię was, a sam odjadę... nie taką miałem nadzieję, ale ponieważ jesteś dziewczyną, tak się musiało skończyć. Otóż to jest mień córki.

N A N C Y. (*n. s.*)

Jeżeli mam słuchać nieprzyjemności, wolę odejść...

B E L C O U R.

Gdzież idziesz? sprawiłem ci przykrość... no, zostań, nie troszcz się... ja nie ciebie obwi-

nam... bo cożes temu winna, że jesteś kobietą?... żeś ładną?...

NANCY. (*n. s.*)

Ah, kiedy tak, to wrócę.

BELCOUR.

Może się przyzwyczaję do ciebie... a potem syn czy córka, moje powinności względem ciebie są zawsze też same i mimowolnie czuję dla ciebie w duszy przyjaźń, przywiązanie; dosyć tego, zgoda między nami i nie mówiny o tem. (*ściska ją.*)

SCENA XVIII.

CIŻ, FREJTAG, później NAUDIN.

FREJTAG. (*wchodząc głębią*)

Wielki Boże!... teraz znowu drugi!...

NANCY. (*n. s.*)

Ten ma dziś nieszczęście!

FREJTAG.

Jakto, panno Nancy, zastałem recytywę, rano był mały, wieczór duży, a jutro będzie i mały i duży...

BELCOUR.

Czy wiesz WPan, że mię nudzisz śmiertelnie.

FREJTAG.

A WPan myślisz, że mię bawisz może!... przychodzę szukać rywala... i zamiast jednego, za-

stają dwóch... bo jak uważam z panną Nancy nie można nigdy na pewno policzyć.

N A N C Y.

Jesteś niezdolny.

B E L C O U R.

Dowiedz się mój paniczku, że na przyszłość zabraniam ci mówić do niej.

F R E J T A G. "

Pan mi zabrania?

B E L C O U R.

Albo ze mną będziesz miał sprawę.

F R E J T A G.

No, ten cokolwiek za mocny.

NAUDIN. (*wchodząc*)

Cóż to znowu?... czy jeszcze się nie skończyło?

F R E J T A G.

Panie Naudin, wstydź się przyjmować tylu wojskowych do siebie, mając tylko jedną synowicę... Zgadnij, com widział wchodząc tutaj?

N A U D I N.

Cóż takiego?

F R E J T A G.

Oto ten ścisnął twoją synowicę.

B E L C O U R.

Ale dowiedz się, że ona tak jest synowicą pana Naudin, jak ja lub ty.

F R E J T A G.

Nie jest jego synowicą?

NANCY. (*n. s.*)

Cóż to ma znaczyć?

NAUDIN.

Pozwól kapitanie... szanuję bardzo twój wysoki rozum i światło; ale dla tego jestem jej stryjem.

BELCOUR.

Ty jesteś jej stryjem...

NAUDIN.

I nigdy nim być nie przestałem.

BELCOUR.

Wytłómacz się.

FREJTAG.

Nie panie, tu nie potrzeba żadnych tłumaczeń... już blisko siódma, idę na moje stanowisko, czekam tam na pana i jego kolegę, a nawet i na innych, jeżeli są... tam się wytłómaczem y...

BELCOUR.

To jest jeden, którego bym chciał przez okno wyrzucić.

FREJTAG.

Do miłego widzenia. (*odchodzi z żywością głębią*)

SCENA XIX.

BELCOUR, NANCY, NAUDIN.

BELCOUR. (*do Naudina*)

Teraz spodziewam się, że mi powiesz...

Tom IV.

18

N A U D I N.

Nie, przeciwnie, to pan mi powiedz, panie kapitanie...

BELCOUR. (*pokazując list*)

Ah cierpliwości! Nie napisałżeś w liście, że ta panna jest ocalonem dziecięciem?...

N A U D I N.

Nigdybym nie mógł napisać podobnego fałszu...

B E L C O U R.

Do stu piorunów!... jeżeli umiesz czytać.. o czem wątpić zaczynam... patrzże na te kilka wierszy bez sensu... (*czyta*) «co znaczy, że mały chłopiec był dziewczynką, ona to sama oddaje ten list.»

N A N C Y.

Ah teraz rozumiem, bo to ja oddałem ten list.

N A U D I N.

Ty, nie dobrego, ona wszystko przeciwnie czyni.

B E L C O U R.

Co to znaczy?

N A U D I N.

Przebacz kapitanie, przebacz!... (*n. s.*) ja myślałem, że wszystko już się wyjaśniło... (*głośno*) ale ja w dwóch słowach wszystko opowiem.

B E L C O U R.

Ha! przecież się dowiemy!

NAUDIN.

Tak kapitanie, nie masz nic łatwiejszego... To nie ona miała oddać ten list..

BELCOUR.

Któż więc...

NAUDIN.

Inna... tamta... (*Henryka wchodzi*)

BELCOUR.

Nieszczęśliwy! powiedz, która inna...

SCENA XX.

CIŻ I HENRYKA. (*jako kobieta*)

HENRYKA.

Ja, panie kapitanie...

BELCOUR.

Kuzynka!

NAUDIN.

Już był czas... byłem bez duszy!

BELCOUR.

Jakto, pani, byłżebym tak szczęśliwym? Ah! przez litość, nie zwódź mię...

HENRYKA.

Nie panie, i raczysz mi przebaczyć podstęp, do którego mię sam przywiodłeś. Z taką chęcią pragnąłeś mieć syna, że nie śmiałam ci przedstawić się... Mój kuzyn zajął moje miejsce.

NAUDIN. (*n. s.*)

Jeszcze jój kuzyn!

H E N R Y K A.

Ale ten wybieg mógł narazić dni twoje, musiałam go więc porzucić, jakimkolwiek bądź kosztem, bo jestem tylko dziewczyną... a dziewczyna, to spokojne, ciche, zawsze siedzi, nie licząc innych kłopotów....

B E L C O U R.

Któż to ci mógł powiedzieć?

H E N R Y K A.

Mój kuzyn.

B E L C O U R.

Nie zrozumiał mię. Nigdy nie miałem podobnych myśli... ja... miałbym pragnąć syna... chłopca, któryby został graczem, nic dobrego... rozpustnikiem...pani temu nie wierzysz... A prócz tego, widząc cię, możesz czego żałować?

H E N R Y K A.

Nie żałujesz mojego kuzyna?

B E L C O U R.

Powinienbym... okazał dla mnie tyle przyjaźni....

H E N R Y K A,

Podzielam jego uczucia... on i ja... to prawie to samo...

B E L C O U R.

A więc jak jemu... mogę ci powiedzieć?...

H E N R Y K A.

Śmiało, bo my oboje jesteśmy tylko jedną duszą...

B E L C O U R.

Z nim, byliśmy jak bracia... i kiedym powiedział, podaj mi twoją dłoń, natychmiast ją uściskał, a pani, niestety! nie możesz tak samo uczynić...

H E N R Y K A.

Dla czegoż nie? nie ma żadnej przeszkody, i oto moja ręka!

B E L C O U R.

Co widzę? Ta rana! Wielki Boże, to on!

H E N R Y K A.

Tak, to on! twój Henryk.

(*całuje jej rękę.*)

SCENA XXI.

CIŻ I FREJTAG. (*ze szpadami*)

F R E J T A G.

Panowie wojskowi, coż to, czy dla żartu kazaćcie mi czekać na siebie?

B E L C O U R.

Ah, zapomniałem zupełnie!

F R E J T A G.

Mości panie! (*postrzegając Henrykę*) Co widzę? ten młodzik...

N A U D I N.

Poznał go natychmiast.

F R E J T A G.

Jakto, to pani uczestowała mię?...

HENRYKA.

Przykro mi to, ale musiałam to uczynić, a-
by się nie wydać.

FREJTAG.

Ale pan, którego także przydybałem, pan nie
jesteś panną.

BELCOUR.

Nie, ale bądź bez obawy, możesz się ożenić
z panną Nancy, nic się nie sprzeciwi.

FREJTAG.

Czy to prawda, panie Naudin?

NANCY.

Mój stryju!

NAUDIN.

Zobaczemy to, zobaczemy...

BELCOUR.

Eh, lepiej teraz, bo potem będzie za późno,
jak zobaczemy...

NAUDIN.

No, kiedy tak... a więc nie powiem nic...

BELCOUR.

A ty, droga Henryko, czy nie powtórzysz od-
powiedzi twojego opiekuna...

HENRYKA.

Z całego serca... tobie winnam moje życie...
tobie je więc poniosę w ofierze...

NAUDIN.

A tak mniemany syn, zostaje narzeczoną...
zobaczemy, co to z tego wyniknie.

KONIEC.

**GODZINA
MAŁŻEŃSTWA**

KOMEDJA

W JEDNYM AKCIE

z francuzkiego

P. Etienne.

↓
TŁUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA NOWYM

TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 29 Lipca 1838 r.

O S O B Y.

PAN DE MARCÉ, stryj Germeuila JP. *Karasiński.*
GERMEUIL JP. *Gizewski.*
ELIZA, jego żona JPa. *Radzyńska.*
KONSTANCJA, jej przyjaciółka JPa. *Daszkiewicz.*
SAINT-ANGE JP. *Dawison.*

(Rzecz dzieje się na wsi, u pana de Marcé,
ośm mil od Paryża.)

GODZINA MAŁŻEŃSTWA.

(Scena przedstawia pokój.)

SCENA I.

KONSTANCJA, GERMEUIL, ELIZA.

ELIZA.

Jakto! i tu nie ma nikogo!

KONSTANCJA.

Rzecz dziwna, wysiadamy z powozu, i nie widzimy żywej duszy... wchodzimy aż do tego salonu, i nawet służący nie wychodzi na nasze przyjęcie.

GERMEUIL.

W istocie, ta cichość jest zbyt smutną wróżbą. Mój biedny stryj był tak chory, zapewne

wszyscy jego ludzie są około niego i zajmują się nim troskliwie. Przebaczcie, pójdę do jego pokoju, wrócę za chwilę, przyniosę wam o nim wiadomość.

SCENA II.

KONSTANCJA, ELIZA.

KONSTANCJA.

Twój mąż mniema, że jego stryj jest bardzo słaby, a ja pewną jestem, że się cieszy zupełnym zdrowiem. Kiedym jeszcze była dziećciem, ile razy przychodził do nas, już wten czas był chorym z przywidzenia. Przepędza trzy części swojego życia na pisaniu testamentów i spełnianiu poleceń lekarskich, do tego stopnia, że na pierwszém piętrze dał mieszkanie notarjuszowi, a w antresoli umieścił doktora, żeby ich zawsze mieć pod ręką.

E L I Z A.

Boże! jakżeś smutno w tym domu! nigdybym tu mieszkać nie chciała; te obrazy, któreśmy widzieli, nie wiem do jakiego wieku należą olbrzymie ich postacie. To zapewne przodkowie mojego stryja, poczciwi kupcy, dobrzy rolnicy. Konstancjo, niech' oni nie będą przedmiotem żartu, wiesz co nam twój mąż mówił o

sposobie myślenia p. Marcé, jest to człowiek z wielkiem uszanowaniem dla starości, u którego przyzwoitość, dobre obyczaje, wierność małżeńska, zawsze są w ustach.

K O N S T A N C J A.

Wiem, ten zacny Marcé, trzyma się dawnych zasad. Elizo, bądźże cokolwiek weselszą.

E L I Z A.

Mogęź nią być? Znasz moje położenie; pan de Marcé nie wie, że jestem potajemnie zaślubioną z jego synowcem. Przymusza go codziennie, aby ciebie pojął za żonę. Pod tym tylko warunkiem chce mu oddać swój majątek.

K O N S T A N C J A.

Oh! musi tę myśl odmienić; chce mię z bogacić dla tego, że mój ojciec był jego najlepszym przyjacielem. To bardzo pięknie, wdzięczna jestem za to dobrodziejstwo; lecz czy może zniewolić mię, abym je przyjęła?

E L I Z A.

Dobra Konstancjo, nie zapomnę nigdy twojej wspaniałej ofiary.

K O N S T A N C J A.

Dajże pokój moja Elizo, to zbyt lekka ofiara. Chociażby nawet serce twojego męża, nie było tobą zajęte... wyznaję ci, że moje...

E L I Z A.

Możeż to być, czy przemówiło?...

K O N S T A N C J A.

Ah tak! aż do dziś ukrywałam to przed tobą...
Przed dwoma laty poznałam u mojej ciotki młodzieńca przyjemnego; jego wesołość, jego uprzejmość natychmiast go w moich oczach odróżniły od wszystkich; więc, że ja z natury jestem cokolwiek pustą, bawiliśmy się tedy śmiesznościami ludzi, zalotnością kobiet, słowem przepędzaliśmy czas najniewinniej w świecie; ale pewnego dnia, wyobraź sobie moje zadziwienie, wyznaje, że mię kocha, że mię uwielbia, że nie może żyć bezemnie, słowem usłyszałam prawdziwe wyznanie miłości; domyślisz się, że chciałam się gniewać, okazać mu obojętność, zakazać mu widywać mię! — ale widac, że nie bardzo mi się to powiodło, bo pomimo całego mojego gniewu, w końcu przekonał się, że m go słuchała z przyjemnością, i że...

E L I Z A.

Dokończ...

K O N S T A N C J A.

Cóż na to powiesz kochana Elizę, po najtkliwszych wyznaniach, wyjechał.

SCENA III.

KONSTANCJA, GERMEUIL, ELIZA.

ELIZA.

I cóż?

KONSTANCJA.

Jaką wiadomość?

GERMEUIL.

Stało się.

ELIZA.

Boże!

GERMEUIL.

Jesteśmy zgubieni!

KONSTANCJA.

Twój stryj umarł?

GERMEUIL.

Nie wcale. O czwartej godzinie rano wyjechał na polowanie; ogrodnik mi o tém doniósł.

ELIZA.

Ah, uspokajasz mię, cóż znaczy ten smutek?

KONSTANCJA.

Mój drogi Germeuil, w tym wszystkim jest jakaś tajemnica; przymusiwszy mię wyjechać z twoją żoną, przyrzekłeś mi wyjawić przyczynę naszej podróży, jak tylko staniemy w domu twojego stryja. Jesteśmy tu, dopominam się o dotrzymanie danego słowa.

GERMEUIL.

Konstancjo, będziesz się gniewać na mnie.

Tom IV.

19

K O N S T A N C J A.

Dla czegoż, nie jestem twoją przyjaciółką?

G E R M E U I L.

Przyznaję, że moje postępowanie musi wam dziwném się wydawać, ale posłuchajcie mię, opowiem wam wszystko. Wiesz dobrze Konstancjo, że jestem ubogim, i że stryj zagroził mi wydziedziczeniem, jeżeli ciebie nie pojnę za żonę.

K O N S T A N C J A.

Wiem wszystko; Eliza została potajemnie twoją małżonką, a więc ja nią być nie mogłam. Cóż więcej?

G E R M E U I L.

Przed trzema dniami, odebrałem przez umyślnego list mojego stryja (*czytając*) • Kochany • synowcze, czuję zbliżającą się ostatnią chwilę, • piszę do ciebie z łoża boleści. Rozkazuję ci • zaślubić Konstancję, i przedstawić mi ją, nim • opuszczę to życie. Wiesz, że ojciec jej, wyświad- • czywszy mi zbyt wielkie usługi, sam popadł • w nieszczęście, i umierając polecił mi czuwać • nad przyszłością jego córki. W trzech dniach • oczekuję twojego przybycia z żoną. W każ- • dym razie donieś mi o twojem postanowieniu • przez wracającego posłańca. Ale pamiętaj, że

«notarjusz już jest wezwany, i że odpowiedź
«twoja, wskaże mi układ mojego testamentu»

«Oczekując przyjemności widzenia cię, zo-
«staję twoim dobrym stryjem... Marcé.--P. S. Je-
«żeli bym przypadkiem umarł, bądź spokojny,
«myślałem o wszystkiem, będziesz dobrze przy-
«jęty.»

K O N S T A N C J A.

Szczególny człowiek, cóżeś mu odpowie-
dział?

G E R M E U I L.

Ze wczoraj zostałem twoim mężem.

K O N S T A N C J A.

Moim?

E L I Z A.

Czy podobna?

G E R M E U I L.

I że stosując się do jego rozkazów, dziś wy-
jechaliśmy do jego zamku.

K O N S T A N C J A.

Prawdziwie, to było arcydzieło.

G E R M E U I L.

Przyznaję.

E L I Z A.

Oh, mój przyjacielu, co za pustota!

G E R M E U I L.

Sądząc, że mój stryj bliski zgonu, chciałem
przedstawić cię, jak moją żonę.

K O N S T A N C J A.

Ale trzeba mię było przed wyjazdem przynajmniej uwiadomic o tem.

G E R M E U I L.

Obawiałem się odmówienia.

K O N S T A N C J A.

Ale jakąż rolę przeznaczasz twojej żonie?

G E R M E U I L.

Przyjaciółki tkliwie do ciebie przywiązanej, i która cię ani na chwilę nie odstępuje; pod tym tytułem uwiadomiłem mojego stryja o jej przybyciu. Tym sposobem spodziewałem się, albo raczej nie spodziewałem się wcale; a teraz pozostaje nam tylko wsiąść do powozu i wracać jak najprędzej do Lugdunu.

K O N S T A N C J A.

Panie Germeuil, możesz się poszczycić, że jesteś dziwaczny człowiek... i w istocie dzięki niemu składam, że na prawdę twoją żoną nie jestem.

G E R M E U I L.

Nakoniec, cóż mam uczynić?

E L I Z A.

Trzeba nam rzucić się do nóg p. Marcé, i wszystko wyznać.

K O N S T A N C J A.

Nowa nieroztropność. Kiedy upadniecie mu do nóg i żalonym głosem powiecie: kochany

stryju, zwiódłem cię, błagam o przebaczenie, co z tego wypadnie, to jest człowiek opryskliwy, gniewliwy, który nigdy nie odstępuje od swoich zasad, i w jego gniewie wszystkiego się obawiać trzeba.

G E R M E U I L.

Ale...

K O N S T A N C J A.

Pozwólcie mię dokończyć rzecz całą. Oboje nie macie dosyć zimnej krwi, aby chwycić się rozsądnej drogi. Ja jestem spokojniejszą, lepiej widzę rzeczy, i jeżeli mi dacie pełnomocnictwo, bioreę na siebie pojednanie.

G E R M E U I L.

Chętnie przystaję.

E L I Z A.

Droga Konstancjo!

K O N S T A N C J A.

Naprzód to umówione, jestem twoją żoną, par interim; twój stryj poczciwy wieśniak, otwarty, szczerzy... zacznę od tego, aby mu się niepodobać.

G E R M E U I L.

To będzie trudno.

K O N S T A N C J A.

Weale nie. Przedstawię mu się płochą, zalotną, lekkomyślną. Ty Elizo winnóm ukaż mu

19*

się świetle; staraj się przypodobać panu de Marce, i kiedy się mocno na mnie rozgniewa, może będziemy mogli uczynić wyznanie.

G E R M E U I L.

Ah, jesteś wybora Konstancjo!

K O N S T A N C J A.

Ah, mój panie małżonku, spodziewam się, że nie zapominasz o względach przynależnych żonie; Elizo, zazdrość na stronę; a ty Germeuil nie zapominaj, że masz tylko tytuł męża... Nie bądź dziwakiem, nie łaj mię, ale nie ukazuj się także zbyt usłużnym, zbyt uprzedzającym; bo mogliby łatwo odgadnąć, że nie jestem twoją żoną.

E L I Z A.

Bądźmy baczni, azeby się nie zdradzić. (*słychać trzaskanie bieża*)

G E R M E U I L.

Co to jest? ah to mój stryj wraca z polowania, przejdźcie do tego pokoju, ja tymczasem przygotuję go na wasze przyjęcie.

K O N S T A N C J A.

Odważnie, a wszystko pójdzie dobrze. (*wychodzą*).

SCENA IV.

GERMEUIL, MARCÉ,

M A R C É.

Gdzież oni są? gdzie oni są, kochane dzieci?

GERMEUIL. (*ściskając stryja*)

Drogi stryju?

M A R C É.

Jak się masz Germeuil; a gdzież twoja żona?

G E R M E U I L.

Poszła cokolwiek poprawić ubiór. Tylko co wysiedliśmy z powozu, a nie chciała się przedstawić...

M A R C É.

Jakto! ceremonije!... Oh widzę, że mię nie znają; czy sądzi, że jest jeszcze w mieście?... Nie cierpię tych próżnych grzeczności, lubię bez żadnego przymusu postępować otwarcie...

G E R M E U I L.

Przyjaciołka mojej żony Eliza, o której pisałem ci w liście, mój stryju, przyjechała z nami.

M A R C É.

Tem lepiej, twoi przyjaciele są mojami i będą zawsze dobrze przyjęci; prócz tego krewni tej młodej osoby są zacni ludzie, których szanuję. Ja, z mojej strony, przyprowadzam ci nowego właściciela sąsiedniego zamku, spotka-

liśmy się na polowaniu, będzie ci bardzo przyjemną jego znajomość; jest to mędrzec, filozof, słowem przedziwny chłopiec! Straszliwie zagniewany na cały rodzaj ludzki, szczególnież na kobiety. Co on mi pięknych rzeczy naga-
dał; i tak polując, moralizując, zrobiliśmy bli-
sko pięć mil.

G E R M E U I L

A więc mój stryju, twoje zdrowe...

M A R C É.

Ah! źle... źle, źle... Czuję, że niknę zwolna, kochany mój Germeil, jestem tak słaby, cia-
ło tak strudzone...

G E R M E U I L.

Nic dziwnego, pięć mil drogi.

M A R C É.

Oh nie, nie, -te pięć mil nic nie znaczą, ja
mogę z łatwością je odbyć; to właśnie jest
skutkiem mojej choroby.

G E R M E U I L.

Widzę to, zapewne nie masz apetytu. !

M A R C É.

Bardzo przepraszam. Na apetycie mi nie zby-
wa, jem dobrze, piję dobrze, śpię dobrze, a-
le zresztą jestem bardzo słaby. Jednakże cie-
szą się z mojej ostatniej choroby, gdyby nie
ona byłbyś się dotychczas nie ożenił.

GERMEUIL.

Ale, mój stryju...

MARCE.

Ah! rozpustniku, lubisz życie kawalerskie.

GERMEUIL.

Przysięgam ci stryju, że już oddawna je pożegnałem.

MARCE.

Ty, ty co tak lubiłeś wielki świat, ubiegałeś się za błyskotkami; korzystać będę z twojego przybycia, aby cię poprawić, i mojemu nowemu przyjacielowi poruczę to staranie. Ah! gdybyś ty słyszał go mówiącego o nicości wielkości ludzkich, o ich nietrwałości. Ale! otóż i on w samą porę przybywa, bo ja sobie nie mogę przypomnieć tych górnych wyrażen.

SCENA V.

SAINT-ANGE, MARCE, GERMEUIL.

SAIN T - A N G E.

Nie mogłem doścignąć tego przekłętego zająca; com się też za nim nabiegał...

MARCE.

Ah, kochany przyjacielu... przedstawiam ci mojego synowca.

GERMEUIL.

Co widzę? nie mylę się, to St. Ange.

S T. A N G E.

Germeuil!

M A R C É.

Znacie się ze sobą?

S T. A N G E.

Bardzo dobrze. Byliśmy oficerami w jednym pułku.

M A R C É.

Ah, jakże mię cieszy to spotkanie.

G E R M E U I L.

Mój stryju, czy to przypadkiem, nie on jest tym filozofem, o którym mi wspominałeś przed chwilą.

M A R C É.

! On sam.

G E R M E U I L.

On! to był największy nic dobrego z całego pułku.

S T. A N G E.

A co, nie mówiłem, widzisz pan sam; czy nie miałem słuszności powstawać na niesprawiedliwość ludzką? A przecież dawny przyjaciel nazywa mię nic dobrego, za kilka błędów młodości, z których staram się codziennie oczyścić.

G E R M E U I L.

Czyś rozum stracił?... Jako, ty, największy pustak, trzpiot...

M A R C É.

Cicho bądź; szanuj cnotę, czy rozumiesz mię.

G E R M E U I L.

Ah, St. Ange od ośmiu miesięcy, jakem cię nie widział, bardzo się odmieniłeś.

S T. A N G E.

Ah, mój przyjacielu, przeżyłem wiek od tego czasu. Miałem tyle zmartwień... a potem, były to cierpienia serca. Ah! boleści serca mię zgnębiły.

M A R C É.

Biedny człowiek!

S T. A N G E.

A propos cierpień serca, jesteś zawsze zazdrosnym?

M A R C É.

Cichoż bądź, on ma żonę.

S T. A N G E. (*do Germeuil*)

Masz żonę! Ah, mój przyjacielu, jakże cię żałuję, a nadewszystko jak żałuję twojej żony.

M A R C É.

Jakto, Mości panie, czy małżeństwo?...

S T. A N G E.

Małżeństwo!... Ah, to piękna rzecz małżeństwo; my moralisci uważamy je za podstawę fundamentalną. Nie moja wina, że się nie ożenił. Wyobraź pan sobie, że zdradzony przez wszystkie kobiety, nakoniec miałem to szczęście znaleźć jedną, która mię kocha, czyli raczej,

która zdawała się kochać mię; ale zważ pan fatalny mój los, miała ojca.

G E R M E U I L.

O nieba!

S T. A N G E.

Ten ojciec przyrzekł innemu, i przeciw woli całej rodziny, oddalono mię grzecznie, ale nie zważam na to, i nie ustraszam się; skrycie przysięgliśmy sobie wieczną miłość; a nazajutrz otrzymałem rozkaz wsiąść na okręt w Tulonie; przebiegłem Włochy, Hiszpańję! wszędzie znajduję tylko zepsucie, przewrotność i podróż moja, pozbawia mię i reszty złudzenia, która mi jeszcze pozostała. Pisałem sto razy do władcy moich myśli; ani słowa odpowiedzi; za powrotem biegnę do jej mieszkania, dowiaduję się, że jej ojciec umarł, że od tego czasu jakiś młody człowiek przychodził często odwiedzać ją, i nakoniec pewnego dnia zniknęli oboje. Wtenczas to, zlorzecząc kobietom, schroniłem się w to ustronie; gdzie dla zabawy własnej, opisuję moje wypadki, które będą nauką potomności, i gdzie trafił mi napotkać mędrca, w którego towarzystwie spędziewam się wznieść do tej wysokości zasad, do

tęj szczytnej moralności, jedynych uroków istnienia, i nieocenionych darów filozofji.

M A R C É.

Panie, w istocie, ja... jestem... jego unizowanym sługą.

GERMEUIL. (*n. s.*)

Szalony St. Ange! (*głośno*) Jakto! i nie dowiadywałeś się o twoją kochankę?... trzeba było starać się wyszukać.

S T. A N G E.

I na cóż?... Jestem pewny, że ją znajdę niewierną... I wolę raczej zachować o niej jeszcze przyjazną wątpliwość, anizeli zyskać przekonanie, któreby mię przywiodło do rozpacz; a potem, wyznam ci, wierzę w fatalizm, to moje przeznaczenie, żeby wszystkie kobiety mię zwodziły.

M A R C É.

To pewna, że młodzież terazniejsza wyrodziła się.

S T. A N G E.

Ah! nie wspominaj pan o niej!... Nasza młodzież ma ton... sposób obejścia... Już nie ma obyczajów, panie Marcé, niema obyczajów, to zgroza!

M A R C É.

Jak mię to cieszy słysząc cię tak mówiące-
Tom IV.

go. Bo ja jestem człowiekiem dawnej daty; myślę zupełnie jak ty, wyjąwszy tylko rozdział o kobietach... ponieważ one mają coś takiego w swojej twarzy... w oczach... coś, co nas przejmuje... nakoniec pan mię rozumiesz.

S T. A N G E.

Wieśniaczki... zgadzam się z panem; to są kobiety, które ja kocham; w nich znajdujemy statek, rozsądek, cnotę...

M A R C É.

To, to, to. Ale gdzież moja synowica, chciałbym ją uściskać. Ja myślę, że ona pojedna cię z jej płcią; a więc moi przyjaciele zostawiam was, odnowicie tymczasem waszą znajomość, wkrótce do was przybędę. (*n. s. wychodząc*)
Wyborny młodzieniec... Co to za rozum! jaka głębokość myśli!... na honor to jest cud!... to cud prawdziwy!

SCENA VI.

ST. ANGE, GERMEUIL.

G E R M E U I L.

Teraz, jeżeli to podobna, spojrzij na mnie bez śmiechu.

S T. A N G E.

Nie, ja nie żartuję bynajmniej.

GERMEUIL.

Powiedz no mi, czy to jeszcze nowy rodzaj przyjętego szaleństwa.

S T. A N G E.

Mówię szczerze; pożegnałem się ze światem na wieki, dobrowolnie wyгнаłem się na pustynię.

GERMEUIL.

Na pustynię!

S T. A N G E.

Musisz ją zobaczyć. Bardzo skromna, ale dosyć przyjemna; mam zwierzyniec, piękne wody, oranżerję, ogród angielski. Nie spodziewaj się u mnie głośnych ucies, zgromadzeń gości, bo tylko trzy razy na tydzień przyjmuję u siebie towarzystwo. Bawimy się muzyką, grywamy komedje, polujemy; zresztą żadnych rzeczy niepotrzebnych, żadnego zbytku, przestaje na tém, co jest istotnie potrzebném.

GERMEUIL.

Do kata! to co nazywasz istotnie potrzebném, bardzo mi się podoba; nie mogę dosyć uwielbiać tego nadludzkiego usiłowania, aby się rzec próżności tego świata. Masz bezwątowania piękną biblijotekę?

S T. A N G E.

Nie mój przyjacielu, nie mam książek, po-

zbyłem się tych, które były w zamku; same romanse, dzieła nieużyteczne, niemoralne....

G E R M E U I L.

I zamieniłeś je? . .

S T. A N G E.

Na partję wybornego szampańskiego wina.

G E R M E U I L.

Na honor, zamiana nowa w swoim rodzaju.

S T. A N G E.

Cóż chcesz, mam zasady; dobre wino nigdy nie szkodzi, a nie można tego powiedzieć o wszystkich książkach. Zakomunikuję ci moje pamiętniki. Wyborne dzieło, każę je wydrukować. Ah mój przyjacielu, tam młodzież znajdzie przedmiot do rozwagi; napełniłem je czułością...

G E R M E U I L.

Ale pamiętaj położyć twoje nazwisko, bo nikt nie uwierzy, żeś jest jego twórcą.

S T. A N G E.

Jest tam zwłaszcza jeden rozdział o kobietach, o tej płci lekkiej, płochej... tej płci, która...

SCENA VII.

CIŻ SAMI, ELIZA

S T. A N G E.

Ab, jaka ładna kobieta!... czy to twoja żona?

GERMEUIL.

Moja żona... nie... jest to jedna z jej przyjaciółek.

ST. ANGE.

Wiesz, że ładna... przedstawię cię, przedstawię cię przecie!...

GERMEUIL.

Pa... panno!

ST. ANGE.

Panna, tem lepiej.

GERMEUIL.

Mam zaszczyt przedstawić p. de Saint Ange, filozofa, który się chlubi tem, że nienawidzi wszystkie kobiety.

ST. ANGE.

Ah! to zgroza!... Niech panna temu nie wierzy, ja miałbym nienawidzić kobiety!.. Nigdy nie wymówiłem nawet podobnego bluźnierstwa.

ELIZA.

Widząc pana, z trudnością możnaby uwierzyć, żeby mógł się uskarżać na nie.

ST. ANGE. (*do Germeuil*)

Do kata! ma rozum.

GERMEUIL. (*cicho do Elizy*)

Nie ufaj mu, jest to szaleniec... pustak.

ST. ANGE.

Zapewniam cię pani, kto jest tak pięknym, tak zajmującym jak ty pani...

GERMEUIL. (*n. s.*)

Jak się zapala. (*do Elizy*) Gdyby się domyślił naszej tajemnicy, już po nas.

S T. A N G E.

Co on tam pani powiada? Założę się, że jeszcze mię potwarza.

E L I Z A.

Panie...

GERMEUIL. (*do Elizy*)

Bądź baczna...

S T. A N G E. (*do Germeuil*)

Ah, mój przyjacielu, co za czarowne oblicze, jaka pociągająca wstydlivość!

G E R M E U I L.

Tak, tak... nie brzydka! (*n. s.*) Ah, na szczęście, mój stryj.

SCENA VIII.

SAINT-ANGE, MARCÉ, KONSTANCJA,

GERMEUIL, ELIZA.

M A R C É.

Pójdź, moja kochana synowico, pójdź przywrócić rozum młodemu człowiekowi, który się odważa uwłaczać płci waszej.

K O N S T A N C J A.

Nie ma najmniejszej słuszności, i dowiodę mu...

M A R C É.

Otóż on.

ST. ANGE. (*n. s.*)

Konstancja!

K O N S T A N C J A.

Nieba!

S T. A N G E.

Jakto mój przyjacielu, to twoja żona?

M A R C É.

Tak jest, bezwątpienia.

ST. ANGE. (*n. s.*)

Oh zdrajczyni! jeszcze śmie ukazywać się przedemną!

K O N S T A N C J A. (*n. s.*)

Jak go wyprowadzić z błędu?...

M A R C É.

Pewny jestem, że ty Konstancjo nie zgadujesz przyczyny jego wielkiego gniewu przeciw kobietom; zakochał się szalenie w jakiejś panience, i że ma podejrzenia...

S T. A N G E.

Podejrzenia! Powiedz pan raczej dowody niezbite.

K O N S T A N C J A.

Może pan mylisz się; często pozory...

ST. ANGE. (*n. s.*)

Ah, to nazbyt przeniewierstwa!

M A R C É.

Czy miałeś o niej wiadomość?

S T. A N G E.

Tak jest, przed chwilą nawet.

M A R C É.

I w istocie złamała dane słowo? oh do karta, nie trzeba się tém smucić; zapomnij o tamtej i pokochaj inną. Ja, gdybym był w twoim wieku, takbym się pomścił.

K O N S T A N C J A.

Ah, mój stryju, jakąż to radę dajesz panu St. Ange.

S T. A N G E. (z gniewem)

Wyborną, i będę z niej korzystał.

M A R C É.

Przedziwnie; a ty moja synowico, czy cięszysz się zmianą twojego stanu? Germeuil, dobry chłopiec, będziesz z nim szczęśliwą.

S T. A N G E.

Przyjemnie słuchać.

M A R C É.

Kazałem wam przygotować pawilon ogrodowy na mieszkanie, panna Eliza zajmie te pokoje.

K O N S T A N C J A.

Ale mój stryju.

M A R C É.

Nie widzieliście jeszcze mojego zwierzyń-

ca, mojego ogrodu, moich sztucznych łąk; pójdź Konstancjo, pokażę ci zaraz pawilon ogrodowy. Pan nie idziesz z nami, _panie St. Ange?

S T. A N G E.

Za chwilę przybędę.

KONSTANCJA. (*n. s.*)

Gdybym mu mogła powiedzieć wszystko.

MARCE. (*do Elizy*)

Panno, oto twoje pokoje, jeżeli chcesz rozpatrzeć się, szczególnież żadnych ceremonji. (*do St. Ange*) Pójdźże panie St. Ange.

S T. A N G E.

Natychmiast idę.

M A R C E.

Zostawmy go, moja Konstancjo; nie lubi towarzystwa, nie trzeba zakłócać jego samotności.

SCENA IX.

ST. ANGE, GERMEUIL.

G E R M E U I L.

Cóż ci to jest kochany St. Ange, zdajesz się być przerażony.

ST. ANGE. (*ściskając mu rękę*)

Żegnam cię, mój przyjacielu.

G E R M E U I L.

Co tobie jest? jesteście sami, nikt nas sły-

szeć nie może. No, porzuć, twój ton patetyczny.

S T. A N G E.

Jeszcze raz, żegnam cię.

G E R M E U I L.

Jakto! czy nas opuszczasz?

S T. A N G E.

Natychmiast.

G E R M E U I L.

I dla czegoż tak nagle?

S T. A N G E.

Powiniennem zataić przyczyny, — poprzestań na tem, że są ofiary, które powinniśmy uczynić dla przyjaźni.

G E R M E U I L.

Powiedz... chcę koniecznie, abys mi wyjaśnił...

S T. A N G E. (*tonem uroczystym*)

Żądasz tego. A więc! muszę ci zadosyc uczynić.

G E R M E U I L.

Przestraszasz mię!

S T. A N G E.!

Dowiedz się, że zdrajczyui, którą tak kochałem... która zapomniała uczynionej mi przysięgi...

G E R M E U I L.

No, i cóż, ta zdrajczyui?

S T. A N G E.

Jest twoja żona.

GERMEUIL.

Moja żona! (*n. s.*) Do kata, niezła omyłka.

ST. ANGE.

Tak, twoja własna żona, teraz przyznasz mi sam, że jest powód zostać odludkiem. Tu idzie o twoją spokojność, a więc żegnam cię po raz ostatni.

GERMEUIL.

Jakto, nie więcej? Zostań, zostań]mój przyjacielu, to mi najmnieszej nie sprawi przykrości.

ST. ANGE.

Jakto, ty dawniej tak zazdrosny...

GERMEUIL.

Tak, zazdrosny o kochankę, ale o moją żonę; ah!

ST. ANGE.

Czy ty żartujesz?

GERMEUIL.

Nie, bynajmniej nie zważaj na mnie; czy ty mię uważasz za męża godnego żartu? Zostań mój przyjacielu, proszę cię o to.

ST. ANGE. *(z gniewem)*

Tak, zostanę, zostanę, ale tylko, ażeby jej dowieść, że jest zupełnie dla mnie obojętną... Gdybym odjechał, mogłaby sądzić, że to z gniewu, z rozpaczy, oh nie, nie... (*do Germeuil*)

Ah, mój przyjacielu, to już ułożone, zostaję, zostaję, i pójdę za radą twojego stryja; ah! co za myśl doskonała, już jej nie Kocham, prześliczna Eliza wygładziła ją zupełnie z mojej pamięci.

G E R M E U I L.

Co! co mówisz!

S T. A N G E.

Zakochałem się!...

G E R M E U I L.

W Elizie?

S T. A N G E.

Tak jest, głowę dla niej tracę... uwielbiam ją, ubóstwiam.

G E R M E U I L.

Tak prędko!

S T. A N G E.

Bo to sympatja, to nagle działa; pewny jestem, że mi dopomagać zechcesz.

G E R M E U I L.

Ja?

S T. A N G E.

Zdajesz się posiadać jej zaufanie; powiedz jej o moim majątku, o mojej rodzinie, o moim charakterze... chwal mię, powiedz, że jestem tkliwym, wiernym, stałym...

G E R M E U I L.

Nie, nie, tego nie powiem, zbyt Kocham prawdę. A potem St. Ange jesteś moim przyjacie

lem, i nigdybym nie dozwolił ci podobnej skłonności.

S T. A N G E.

Dla czegoż to?

G E R M E U I L.

Naprzód, Eliza nie posiada majątku.

S T. A N G E.

Tém lepiej, ja jestem bogaty; zbogacę tę, którą kocham. Znaszże ty tkliwszą rokosz?

G E R M E U I L.

A potem ona nie jest to co nazywają pięknnością.

S T. A N G E.

Ah mój przyjacielu, nie mów tego, dajesz złe wyobrażenie o twoim guście... jest przynajmniej równie piękną jak twoja żona. Ma wyraz twarzy, płeć, oczy, oh! jakie oczy!

G E R M E U I L.

Ja nie mówię, żeby była brzydką, ale jej sposób myślenia.

S T. A N G E.

No!

G E R M E U I L.

Zalotna!

S T. A N G E.

Cokolwiek, pozwalam.

G E R M E U I L.

Kapryśna!

Tom IV.

21

S T. A N G E.

Kapryśna, ah mój przyjacielu nakłoniłeś mię. Uwielbiam kapryśną kobietę, ona z kolei jest lekka, żywą, obojętną, płochą, rozsądną. Znajdujemy w niej zalety dziesięciu innych kobiet, i wśród niezłomnej wierności, można się cieszyć urokiem niestałych. Kapryśna, ah kochany Germeuil, to jest skarb prawdziwy!

G E R M E U I L.

Ty lubisz tylko wieśniaczki, a Eliza jest z Paryża.

S T. A N G E.

Nie ma reguły bez wyjątku, a potem idę w zakład, że ona długo musiała mieszkać na wsi. W jej rysach maluje się ta słodycz, ta niewinna prostota, które zdradzają wychowanie wiejskie.

G E R M E U I L.

Oh ty łotrze... ale nakoniec ona jest zupełnie nie dla ciebie, i nie zniósłbym nigdy..

S T. A N G E.

Zwolna panie Germeuil, pamiętaj, żeś mi już porwał jedną kochankę, i że tym razem... na honor, podziwiam cię, nie jesteś zazdrosny o twoją żonę, a zapala się kiedy idzie o inną.

GERMEUIL. (*n. s.*)

Dla czegoż trwożę się, czyliż nie znam mojej zony! (*głośno*) St. Ange, czyń co ci się podoba, ale cię upewniam, że to będzie prózna praca; Eliza jest tak obojętną, tak zimną na wszystkie hołdy; nie podobasz jej się, bo ona lubi tylko ludzi rozsądnych; do widzenia kochany St. Ange, bądź zdrów.

SCENA X.ST. ANGE. (*sam*)

Nie podobam się Elizie, zobaczymy, zobaczymy panie Germeuil; on mi zabrania kochać ją, jest to jeden powód więcej, aby mię do tego skłonić. Już mię bawi gniew Konstancji, gdy zobaczy, że tak wesoło w inną stronę zwróciłem moje uczucia. Z resztą, chciała tego, nie mam sobie nic do wyrzucenia, dla czegoż się smucić. Ah! otóż śliczna Eliza, kocham ją, to już postanowione, i właśnie chwila oświadczyć się.

SCENA XI.

ST. ANGE, ILIZA.

E L I Z A.

Przebacz pan, sądziłam, że Germeuil...

S T. A N G E.

Tylko co wyszedł; zatrzymaj się pani przez litość...

E L I Z A.

Obawiam się...

S T. A N G E.

Obawiasz się pani zostać ze mną?

E L I Z A.

Pan najlepiej lubisz samotność.

S T. A N G E.

Tak, wyznaję, lubię, samotność, ale ona ma dla mnie tysiąc razy więcej powabów, kiedy ją pani upiękniasz.

E L I Z A.

Co słyszę? zdaje mi się, że pan stajesz się grzeczniejszym?

S T. A N G E.

To panią zadziwia...

E L I Z A.

Czyliżes pan nie zaprzysiągł wieczną nienawiść naszej płci?

S T. A N G E.

Chciej pani lepsze o mnie powziąć zdanie. Tak jest! nienawidzę kobiety płochę, niewierne, ale umiem cenić, wielbię skromną cnotę, tkliwą niewinność, i widząc cię przed sobą...

E L I Z A.

W istocie, gdybyś mi się nawet pan zalecał...

ST. ANGE.

Co za szkoda, że te czarowne rysy ukrywają duszę zimną i obojętną.

ELIZA.

Ah! ktoś to panu powiedział o tém?

ST. ANGE.

Wiem o tem.

ELIZA.

Upewniam pana, że cię źle uwiadomiono.

ST. ANGE.

Jakto! mogłoby to być?... byłabyś pani zdolną uczuć tkliwe przywiązanie.

ELIZA.

Bez wątpienia.

ST. ANGE.

Miłość bez granic.

ELIZA.

Dla czegożby nie?

ST. ANGE.

Twoje serce dałoby przystęp warunkom?

ELIZA.

Niestety! zbyt go doświadczam w tych miejscach.

ST. ANGE. (n. 4.)

Pomieszana, wzdycha, stało się, nie mogę powściągnąć. Przeiliczna Elizo! przebacz szczerości mojego wyznania, ale kocham cię, uwielbiam! Jestem młody, mam dwadzieścia tyścy liwrów rocznego dochodu, mogę rzucić

moją ręką, moim majątkiem, i składam je u nóg twoich. Mówią, że pani lubisz tylko rozsądnych ludzi. Jestem samym rozsądkiem, pan Marcé zaświadczy, przyjmujesz więc pani? Ah! pomnij na to, że odmówienie twoje stałoby się męczarnią... żebym jej nie przeżył, tak, jabym ją życiem przypłacił.

E L I Z A.

Jakto, panie St. Ange, czy to być może!

S T. A N G E.

Zezwalasz? Ah, jestem najszczęśliwszy z ludzi!

SCENA XII.

SAINT-ANGE, GERMEUIL, ELIZA.

GERMEUIL, (*n. s.*)

Ah! ah! Saint-Ange i moja żona, sam na sam!

S T. A N G E.

Ah to ty Germeuil, no, już stało się.

G E R M E U I L.

Jakto, stało się?

S T. A N G E.

Tak, mój drogi, ja kocham ją, ona mię kocha, kochamy się.

G E R M E U I L.

Ona cię kocha, któż ci to powiedział?

S T. A N G E.

Jej pomieszanie, jej wzruszenie, na honor

głowę tracę. (n. s.) Ah, niewierna Konstancjo! Wynajdę ją, aby jej okazać moją zimną krew, moją obojętność! (do Elizy) Żegnam cię pani, twoja dobroć napełniła mię uniesieniem, radością. (do Germeuil) Mój przyjacielu w czasie mojej nieobecności, staraj się dokończyć i nakłonić ją na moją stronę. Przebacz piękna Elizo, oddalam się, ale dla tego, aby myśleć o tobie.

SCENA XIII.

GERMEUIL, ELIZA.

GERMEUIL.

I cóż pani?

ELIZA.

Cóż mój przyjacielu?

GERMEUIL.

Wybornie! Bardzo dobrze umiałaś podniecić odwagę tego śmiałka.

ELIZA.

Mógłżebyś mniemać...

GERMEUIL.

To tak przyjemnie dla kobiety, kiedy słyszy mówiących, że ją kochają,

ELIZA.

Ale mój przyjacielu, cóżem miała odpowiedzieć? Zaledwie mogłam słowo przemówić.

GERMEUIL.

Przebacz mi, lecz kobieta umie nakazać uszanowanie, jeżeli tego chce. Ale pan de St. Ange jest szaleniec, zarozumiały... ah, na honor, to więcej niż potrzeba...

ELIZA.

Ah Germeuil, Germeuil! mogłażem się spodziewać...

GERMEUIL.

Przebacz droga Elizo, zasmucam cię, ale jestem w położeniu... Sprzeczności, których doznaję... miłość moja dla ciebie... Przez litosć zapomnij tej krótkiej chwili uniesienia.

ELIZA.

Gdybyś wiedział, ile cierpień twojem podejrzeniem.

GERMEUIL.

Przebacz mi, przebacz Elizo. (*ściska ją*)

SCENA XIV.

GERMEUIL, MARCÉ, ELIZA.

MARCÉ.

Dla Boga! co ja widzę!

GERMEUIL.

Nieba! mój stryjj!

ELIZA.

Zginęliśmy.

MARCÉ.

Bardzo pięknie, panie synowcze... Nie prze-

szkadzam; po trzech dniach małżeństwa, nie wstydzisz się?

GERMEUIL.

Mój stryju, nie sądz...

MARCE.

Ani słowa!... cóż powiesz na twoje usprawiedliwienie? bez uszanowania dla obyczajów, dla przyzwoitości...

GERMEUIL.

Przysięgam ci...

MARCE.

Milczenie... A ty, mościa panno, także to zawdzięczasz przyjaźń, którą moja synowica miała dla ciebie? Rozłączać małżeństwo... ten postępek mię oburza.

ELIZA. (*n. s.*)

Ah, co czynić!

GERMEUIL.

Mój stryju, pozwól mi się wytłumaczyć.

MARCE.

Bez wyjaśnień. (*n. s.*) Dla przyzwoitości ta panna nie może zostać tutaj. (*głośno*) Mościa panno, wdzięczem ci jestem nieskończenie, żeś była tak dobrą i towarzyszyła mojej synowicy aż do mojego zamku, ale bezwątpienia masz krewnych, którzy cię kochają, którzy cię kochają tkliwie, zapewne z niecierpliwością oczę-

kują chwili, w której cię znowu widzieć będą, a więc mościa panno; (*n. s.*) nie odpowiada. (*głośno*) Ci dobrzy krewni nie mogliby znieść twojej nieobecności, dla tego wydam natychmiast rozkazy, aby cię do nich odwieziono.

ELIZA. (*n. s.*)

O nieba!

G E R M E U I L.

Nie ścierpiałbym...

M A R C E.

Cóż to! nie radzę ci okazywać się nieposłusznym, bo to na złe wyjść może.

GERMEUIL. (*n. s.*)

Co za położenie!

M A R C E.

Bądź panna spokojną, będą mieć dla ciebie wszelkie względy, wszelkie starania... Pojedziesz w powozie pocztowym z osobą zaufaną, a więc nie ma najmniejszej obawy.

ELIZA. (*do Germeuil*)

Co tu począć?

G E R M E U I L.

Pojadę z tobą.

M A R C E.

Pojadę z tobą; patrzcie, jaka familjarność... Oh! niegodny! po trzech dniach małżeństwa,

mając tak ładną żonkę, co za zgroza! co za zgor-
szenie! Tędy mościa panno, tędy, wydam po-
lecenia do twojego odjazdu. Ah! pojedę z tobą!..

SCENA XV.

GERMEUIL. (*sam*)

Co tu czynić?... wyślę moją żonę... Ah, ten
Saint Ange musiał tu przybyć na nasze nieszczę-
ście; wszystko zdaje się mię opuszczać.

SCENA XVI.

KONSTANCJA, GERMEUIL.

K O N S T A N C J A.

Ah, kochany Germeuil, znajduję cię przecię,
widzisz mię tak cierpiącą..

G E R M E U I L.

Jestem w rozpaczy.

K O N S T A N C J A.

Nie wiesz na co naraziłam się, zezwalając
uchodzić za twoją żonę; czy uważałeś ty zmie-
szanie, wzruszenie pana St. Ange?

G E R M E U I L.

Niestety! zginęliśmy.

K O N S T A N C J A.

Jakto, czyliż nasza tajemnica odgadniona?

GERMEUIL.

Nie. Ale wyobraź sobie, ten przeklęty Saint Ange, chce się koniecznie ożenić z moją żoną.

KONSTANCJA.

Czy być może?

GERMEUIL.

Zakochał się w niej szalenie, popełnia ty-
siące głupstw.

KONSTANCJA.

Zdrajca! niewierny!... niedotrzymywać przy-
siąg!

GERMEUIL.

Ale posłuchaj mię Konstancjo...

KONSTANCJA.

Jego postępek jest szkaradny.

GERMEUIL.

No, tu dzisiaj wszyscy głowy tracą. Ale prze-
cież pomyśl...

KONSTANCJA.

Wyznaję, że pozór był przeciwko mnie; ale
jednakże musiał mię bardzo mało kochać, po-
nieważ tak prędko mógł się nakłonić.

GERMEUIL.

Ah! otóż w dobrych jesteśmy rękach! lecz
gdzież jest moja żona? będę się mógł z nią
zobaczyć? czy nie odjechała? O nieba! spiesz-
my za nią.

SCENA XVII.

KONSTANCJA. (*sama*)

Ah, jakżem mylnie o nim sądziła. Zdawało mi się widzieć w jego wzruszeniu, w jego pomieszaniu nowy dowód jego przywiązania. Ale nie, trzeba mu tylko było pozor...i znalazł go... Gdy sobie przypominam czynione mi przysięgi, niestety! starajmy się teraz zapomnieć o nich.

SCENA XVIII.

ST. ANGE, KONSTANCJA.

K O N S T A N C J A.

Otóż on. Strzeżmy się wyprowadzić go z błędu; zobaczymy pierwój, jak też będzie się starał usprawiedliwić swój postępek.

ST. ANGE. (*n. s.*)

Smiało... zimna krew. Nie kocham jej... a więc.. jak ona jest piękna! Jak można, z tak słodką twarzą, ukrywać serce tak fałszywe?

K O N S T A N C J A.

Ah! to pan!

S T. A N G E.

Tak jest pani.

K O N S T A N C J A.

Już oddalasz się od nowego przedmiotu twojej miłości?

Tom IV.

S T. A N G E.

Bynajmniej, mniemałem, że go tu z najdę.

K O N S T A N C J A.

Ab! zdaje się, że pan ją bardzo kochasz?

S T. A N G E.

Do szaleństwa!

K O N S T A N C J A.

Bardzo gwałtowna namiętność.

S T. A N G E.

Tak jest, ale szczerą.

K O N S T A N C J A.

Mówiono mi, że pan się żenisz?

S T. A N G E.

Prawdę powiedziano, żenię się.

K O N S T A N C J A.

Czy niedługo?

S T. A N G E.

Nie tak prędko jakbym pragnął.

K O N S T A N C J A.

I to jest małżeństwo?...

S T. A N G E.

Ze skłonności.

K O N S T A N C J A.

Obyś pan mógł znaleźć w tym słodkim związku szczęście, jakiego jesteś godzien.

S T. A N G E.

Niezmiernie obowiązany, ale ponieważ pani

tak mi dobrze życzysz, pozwól mi prosić cię
o łaskę.

K O N S T A N C J A.

O łaskę, słuchaj, mów.

S T. A N G E.

Pani znasz tę, którą kocham.

K O N S T A N C J A.

To jest moja najlepsza przyjaciółka.

S T. A N G E.

Z tego tytułu proszę cię pani, abyś chciała
jej mówić za mną, powiedz jej: że tego tylko
pragnę, aby ją uczynić szczęśliwą.

K O N S T A N C J A.

Dobrze.

S T. A N G E.

Powiedz jej przede wszystkim, a ty wiesz le-
piej jak kto inny, że to serce umie czuć naj-
tkliwsze przywiązanie, że gdyby mię kiedy zwio-
dła, zadałaby mi boleść niewysłowioną... i zatra-
ła całe szczęście mojego życia.

K O N S T A N C J A.

Powtórzę jej to wszystko, powiem nadto, jak
jesteś wiernym, jak cię wiele kosztuje zerwać
twoje przysięgi, i z jaką trudnością nowe wy-
konywasz.

S T. A N G E.

Ale pani, nie zdajesz się być przejętą tem co mówisz!

K O N S T A N C J A.

Przebacz mi pan, przebacz, czy nie masz jej nic więcej powiedzieć?

S T. A N G E.

Nic pani, wolno ci będzie dodać to wszystko, co ci podda dobre mniemanie, jakie powinnaś mieć o mnie.

K O N S T A N C J A.

A więc przydam, że pan jesteś człowiekiem najlekkomyślniejszym, najniestalszym, najnie-sprawiedliwszym; że nie obawiasz się rozdzierać serce, w którym tkliwość obudziłeś, i że z przysięg czynisz sobie igraszkę.

S T. A N G E.

Tego zarzutu nie spodziewałem się wcale. I któż zniewazył te przysięgi, jeżeli nie ty pani sama?

K O N S T A N C J A.

Ja?

S T. A N G E.

Ja myślę, że rzecz jest dosyć jasna.

K O N S T A N C J A.

Bynajmniej, zupełnie ciemna.

S T. A N G E.

Jakto! kiedy przybywam, kiedy znajduję cię
żoną innego, jeszcze odważasz się mówić, że
nie jesteś niewierną?

K O N S T A N C J A.

Tak, mówię to śmiało.

S T. A N G E.

Jednakże jesteś żoną pana Germeuil?

K O N S T A N C J A.

A gdybym nią nie była?

S T. A N G E.

Gdybyś nią nie była... o nieba! co za po-
dejście, ale nie... zwoździsz mnie jeszcze...
chcesz doświadczyć władzy, jaką masz jeszcze
nad mojem słabem sercem.

K O N S T A N C J A. (*wzruszona*)

A więc! w dwóch słowach... Eliza jest żo-
ną Germeuil... nie jestem zamężną, i tylko dla
zapewnienia majątku tym dobrym przyjacio-
łom, zezwoliłam na chwilę na odegranie roli
synowicy pana de Marcé.

S T. A N G E.

Mogłoby to być?

K O N S T A N C J A.

Miałam się ukazać płochą, pustą, ale two-
ja obecność pomieszała mój zamiar.

22*

ST. ANGE. (*u nóg Konstancji*)

Ah Konstancjo! ty jesteś aniołem! Przechacz mi chwilę błędu; był to tylko gniew, rozpacz, żom cię utracił.

K O N S T A N C J A.

Oh, Saint-Ange, z jakiegoż ciężaru uwalniasz moją duszę!

SCENA XIX.

ST. ANGE, MARCÉ, KONSTANCJA.

M A R C É.

Ob! otóż mamy, przęslicznie!...

S T. A N G E.

Pan de Marcé.

K O N S T A N C J A.

O nieba!

M A R C É.

Mąż z jednej strony, żona z drugiej.

S T. A N G E. (*n. s.*)

Przybiorę moją rolę moralisty.

M A R C É.

Powiedz no mi panie filozofie, czy to naukę, czy też kurs moralny powtarzasz; a ty moja kochana synowico, zdaje się, że ukształcasz się w jego szkole.

K O N S T A N C J A.

Ah, mój stryju, tyle hałas u o taką drobnostkę.

M A R C É.

Jakto! o drobnostkę, kiedy znajduję jego-
mości u nóg twoich!

K O N S T A N C J A.

I cóż tak dziwnego, że mężczyzna klęczy
u nóg pięknej kobiety!

M A R C É.

Ah, dobry Boże! co za mowa! Ale masz
męża... a jak mu pójde donieść o tém...

K O N S T A N C J A.

Idź pan, nie nowego się nie dowie. Nieza-
wistość zupełna, oto nasze godło.

M A R C É.

Ah jakie zasady! co za zgorzenie! Sliczne
małżeństwo!... cóżem uczynił!... podpalił
dom z czterech stron.

K O N S T A N C J A.

Nie gniewaj się kochany stryju, może ci
zaszkodzić.

M A R C É.

Cóż to, namiewasz się ze mnie.

S T. A N G E.

W istocie, to jestem niegodnie...

K O N S T A N C J A.

Cicho, mój St. Ange, nie wiesz co mówisz.
Do widzenia, kochany stryju. Bez gniewu.

Nie znasz zwyczajów teraz przyjętych; ja cię obznajmię z niemi i spodziewam się, że wkrótce będziemy najlepszemi przyjaciółmi. Bez poze-
gnania panie St. Ange. Czekam cię. Pospieszaj
za mną.

SCENA XX.

SAINT-ANGE, MARCÉ.

MARCÉ.

Ah, wściekam się! Jest z czego umrzeć.

ST. ANGE.

Jestem zawstydzony.

MARCÉ.

Dwa dni dopiero po ślubie... Cóż to będzie
za rok? Co za lekkomyślność!

ST. ANGE.

Co za postępowanie!

MARCÉ.

A pan ze swoją nienawością dla kobiet.

ST. ANGE.

Cóż pan chcesz... i najwięksi ludzie mają
chwile słabości... ale ja wstydzę się mojej i
przysięgam, że dla tej, która jest twoją sy-
nowicą, takie tylko w mojem sercu zachowam
uczucie, którego honor nie wzbrania.

MARCÉ.

Już ci nie ufam, nie wstydzisz się!... mę-
żatka!...

S T. A N G E.

Azeby panu dowieść, że nie myślę wcale o pani Germeuil, dziś jeszcze zaślubię jej przyjaciółkę.

M A R C E.

Jej przyjaciółkę!

S T. A N G E.

Tak, osobę, która jej towarzyszy.

M A R C E.

Zaślubisz ją?

S T. A N G E.

Dzisiaj, powtarzam.

M A R C E.

Otóż to młodzieź!... Zatrzymaj się chwilę, nie popełniaj szaleństwa. Czy znasz dobrze tę młodą osobę?

S T. A N G E.

Jak najlepiej!

M A R C E.

Mam ci parę słów o niej powiedzieć.

S T. A N G E.

Na cóż... jużem się namyslił.

M A R C E.

Nie zniósłbym, żeby cię oszukać miała.

S T. A N G E.

Bądź pan zupełnie o to spokojny.

M A R C E.

Ale kiedy ci powiem, że ją znalazł tu...

S T. A N G E.

Zdawało się!

M A R C E.

Widziałem własnymi oczyma...

S T. A N G E.

Uprzedzenie!

M A R C E.

Nie, musisz koniecznie wiedzieć...

S T. A N G E.

Wiem wszystko.

M A R C E.

Ah to uparta głowa! powiadam ci, że będziesz...

S T. A N G E.

To mi zarówno, biorę to na siebie.

M A R C E.

A więc ożeń się z przyjaciółką mojej synowicy. W istocie, to jest najlepszy sposób zakończenia tej sprawy spokojnie. Notariusz mieszka u mnie; idź do niego i powiedz mu odcennie, aby napisał intercyzę, żeńcie się, ale tylko nie przychodźcie tu do mnie, i wyjeżdżajcie natychmiast, tego wymaga przyzwoitość... honor...

S T. A N G E.

A więc, pojedziemy.

M A R C É.

Powóz zaprzężony pocztowymi końmi czeka na dole, możecie sięść w niego; jeszcze raz powtarzam, spieszcie się.

S T. A N G E.

Ah, ileż wdzięczności!... pozwól pan niech cię uściskam, nikogo przyjemniej nie oddaiono z domu.

M A R C É.

Ale, ostrożnie, udusisz mię, no, spiesz się, niech cię kaci porwą z twojemi uściskami i przecznościami.

SCENA XXI.

MARCE. (*sam*)

Mimo tego wszystkiego co mi się wydarza, nie mogę się wstrzymać od śmiechu, zważając ufność tego biednego St. Ange, ja musiałem tak uczynić dla samych obyczajów. Ale to będzie dla mnie nauką, aby nie łączyć ludzi, nie wiedząc czyli ich sposób myślenia jest zgodny.

SCENA XXII.

MARCE. GERMEUIL.

GERMEUIL.

Ah mój stryju, gdzież jest Eliza? cóż się z nią stało?...

M A R C É.

Jakto! rozpustniku, jeszcze odważasz się się mówić mi o niej; ale już ja położyłem tamę twojej lekkomyślności, już jej nie zobaczysz więcej.

G E R M E U I L.

O nieba! odjechała?

M A R C É. (*n. s.*)

Trzeba mu wszelką odjąć nadzieję. (*głośno*)
W tej chwili, kiedy mówię do ciebie, już jest na drodze do Lugdunu.

G E R M E U I L. :

Wielki Boże! cóżes uczynił?

M A R C É.

Uspokój się, jedzie w dobrém towarzystwie, z panem St. Ange,

G E R M E U I L.

Jakto, St. Ange, pojechał z moją żoną? ah
moj stryju, dozwoliłeś porwać moją żonę.

M A R C É.

Twoją żonę! Co ten znowu gada?

G E R M E U I L.

Tak mój stryju, moją żonę, St. Ange zakochał się w niej.

M A R C É.

A ty z kąd wiesz o tém?

G E R M E U I L.

On mi to sam powiedział...

SCENA XXIII.

ST. ANGE. KONSTANCJA, ELIZA.

MARCE, GERMEUIL.

S T. A N G E.

Panie Marcé, nim odjadę, pozwól mi przedstawić ci moją żonę.

G E R M E U I L.

Co słyszę?

ST. ANGE (*do Konstancji*)

Pani St. Ange podziękuj panu de Marcé za łaski, jakie ci wyświadczał.

M A R C É.

Pani de St. Ange?... co to ma znaczyć?

S T. A N G E.

Tak, to moja żona, nie kazałeś mi pan pójść z nią do notariusza?

G E R M E U I L.

Jakto, mój stryju, ty ich połączyłeś? ah wracasz mi życie... jakże ci mam podziękować...

M A R C É

Otóż mamy, drugi mi dziękuje, żem wydał

jego żonę za innego, wszyscy powarjowali;
powiedzcież mi naręszcie, co to jest?

S T. A N G E.

Ja więc opowiem prawdę szczerą. Dowiedz się pan, że Konstancja uchodziła tylko za twoją synowicę, ale nie jest nią w istocie.

M A R C E.

Jakto?

K O N S T A N C J A.

Nie jestem nią.

S T. A N G E.

Prawdziwą jest Eliza.

M A R C E.

Ah! ah!

ELIZA. (n. s.)

Drzę cała!

M A R C E.

A więc pan Germeuil...

S T. A N G E.

Zbłądził, ale młodość ma swoje usterki, ludzkość swoje słabości, niedoświadczenie swoje błędy. Ludzie byliby bardzo pożałowania godni, gdyby mądrość nie była pobłażającą... i jeżeli przebaczenie...

M A R C E.

Eh. daj mi pokój filozofie!

S T. A N G E.

Zważ pan, żeśmy szanowali dobre obyczaje.

K O N S T A N C J A.

Przyzwoitość!

G E R M E U I L.

Wierność małżeńską.

E L I Z A.

Drogi stryju!

M A R C É.

Wszyscyście mię zwiedli... tak jestem rozgniewany... jednakże wyznam, wielki ciężar spadł mi z serca, bo przynajmniej jestem pewny, że nie zakłóci już nic waszego szczęścia. (*do Elizy i Konstancji*) A więc! uściskajcie mię i bądźcie szczęśliwi!

KONIEC KOMEDJI I TOMU CZWARTEGO.

*Exemplarzy nie opatrzonych moją cyfrą,
prawnie poszukiwać będą.*



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
10-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel 26-68-63**

<http://rcin.org.pl>

k
22.963
4